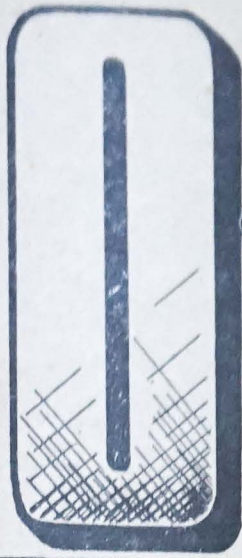


*Alia*



# Chotnicka



PISMO PSK

Rok II

Luty 1944

Nr 4.5.



okaznik

929 00219

Wydawca: **Inspektorat Główny P.S.K. - A.P.W.**

Redakcja: **Komitet Redakcyjny**

„Ochotniczka“ ukazuje się raz w miesiącu.

„Ochotniczkę“ nabywać można w Inspektoracie Gł. P.S.K.,  
w oddziałach P.S.K., w kantynach i świetlicach.

## Litania Ziemi Lwowskiej

*Matko Boska, Patronko z Jazłowca,  
Co przy świętej schodziłaś niedzieli  
W nasze strony i błędząc przez pola,  
W starych sztańcach o zboczach z jałowca,  
Pośród winnic i sadów moreli —  
W niebo niosaś uroki Podola.*

*Matko Boska, Panno z Busowiska,  
Na niebieskiej umieszczona smudze  
Pod opieką brzoźowego skrzydła,  
Gdzie jesienią wianki jarzębiny  
I czerwono-płową kukurudzę  
Przynoszono Ci zamiast kadzidła.*

*Matko Boska, Panno z Busowiska,  
Z naszych Karpat, które pachną smolą  
I oddechem traw na połoninie,  
Czyje światło w oku Twem odbłyśka  
I skąd wiatr Ci wypogadza czoło,  
Kiedy lasem zachwycony płynie.*

*Spójrzcie, Matki w cierpieniu zaprawne,  
Ile kości i łez po wygnaniach  
I mąk ile ojczyzny nam strzeże!  
Pozwólcie chorągwie swe dawnej  
Śród jałowców podolskich na sztańcach  
Amen, amen — modlą się żołnierze.*

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

## Fale potopu

Wojna, która już piąty rok pustoszy połowę świata, w której bierze bezpośredni udział 9/10 ludzkości, rozpoczęła się jak dobrze pamiętamy, na polskiej granicy, a jej bezpośrednim powodem były zakusy niemieckie na polski stan posiadania na zachodzie. Piszemy: nasz stan posiadania, a nie granice, bo aż do 30-go sierpnia 1939 roku, Hitler oficjalnie żadnej części polskiego terytorium państwowego dla Niemiec nie żądał. Sprezycujmy: w mowie swej wygłoszonej w Reichstagu 28 kwietnia 1939 roku Hitler oświadczył, że domagał się od Polski a) zgody na włączenie do Niemiec terytorium wolnego miasta Gdańska (które do Polski nie należało, a na którym mieliśmy jedynie pewne prawa), oraz b) udzielenia Niemcom eksterytorialnego korytarza przez Pomorze dla budowy autostrady i linii kolejowej między Niemcami a Prusami Wschodnimi. W zamian za te koncesje Hitler gotów był, jak mówił, udzielić Polsce gwarancji całości jej terytorium z Pomorzem, Poznańskim i Górnym Śląskiem włącznie.

Ządania Hitlera zostały przez rząd polski przy jednomyślnym

poparciu narodu — odrzucone. Wynikiem tego kroku jest obecna wojna. Rząd W. Brytanii stanął wówczas u naszego boku, zobowiązując się formalnie w dniu 31 marca 1939 roku do udzielenia Polsce pełnej pomocy, gdyby Polska uznała, że jest zmuszona do zbrojnej akcji obronnej i podpisując w dniu 28 sierpnia tegoż roku, a więc już po zawarciu paktu Mołotow—Ribbentrop, formalny układ przzymierza z rządem polskim. Wypełniając obowiązki z tych aktów wypływające, W. Brytania w dniu 3 września 1939 r. bierze udział w wojnie.

Akcja polityczna W. Brytanii między 21 marca a 31 sierpnia 1939 r. t. j. w okresie dyplomatycznej fazy sporu, skierowana była na umacnianie Polski w jej decyzji oporu, w celu nie dopuszczenia do nowego, tym razem polskiego Monachium. W akcji tej, choć nieoficjalnie, tym niemniej wydatnie, sekundował W. Brytanii rząd Stanów Zjednoczonych. Kiedyś, gdy ogłoszone zostaną poufne dokumenty dyplomatyczne z tego okresu, a w szczególności sprawozdania z rozmów, prowadzonych przez warszawskie mini-

sterstwo spraw zagranicznych z ambasadorem amerykańskim Drexel-Biddlem oraz ambasadora R. P. w Waszyngtonie, Potockiego z tamtejszymi czynnikami miarodajnymi, wreszcie raporty ambasadorów Łukasiewicza i Raczyńskiego z ich konferencji z p. William Bullittem — ocenić będziemy mogli rolę polityczną Stanów Zjednoczonych w rozwoju konfliktu polsko-niemieckiego.

Rzecz jasna, że W. Brytanii, a tym bardziej Stanom Zjednoczonym nie szło o statut polityczny Gdańska, co do którego nie jeden z anglo-saskich mężów stanu miał poważne wątpliwości, gdzie go należy szukać na mapie (w jednej z niedawno wydanych encyklopedii amerykańskich pozycja Gdańska załatwiona jest jednym zdaniem: Danzig — miasto i port w Europie, przedmiot sporu niemiecko-polskiego). Sedno rzeczy leżało w tym, że Anglo-Sasi doskonale zdawali sobie sprawę, że w razie ustępstwa wobec żądań Hitlera, Polska a z nią cała środkowo-wschodnia Europa weszłyby w orbitę niepodzielnych wpływów politycznych III Rzeszy. Kapitulacja Polski otwierała potopowi brunatnemu drogę na wschód. W ówczesnym zaś układzie sił Rosja nie mogła być tamą, która by powstrzymała fale tego potopu.

Spór o Gdańsk był więc tylko pretekstem, zasłoną, za którą czaiło się zagadnienie znacznie poważniejsze — problem opanowania przez Niemcy Europy a w dalszej kolejności, jak dziś już na pewno wiemy, i innych kontynentów. Gdańsk był tylko Sarajewem 1939 roku, iskrą, która padła na prochy obficie nagromadzone, choć nie dla wszystkich dostrzegalne.

Dlatego też naiwne jest przypuszczenie, że bardziej ustępliwe stanowisko Polski w 1939 roku byłoby światu oszczędziło najstraszniejszej z wojen i nas ochroniło od jej okropności. Różnica byłaby tylko ta, że wojna toczyłaby się może nieco później i w innej konstelacji sił. Dodajmy — dla obrońców wolności świata znacznie mniej korzystnej.

W 1939 roku znany francuski faszysta Marcel Déat wołał: „Nie chcemy umierać za Gdańsk”. Hasło to powtarzali za nim ludzie małego ducha aż spowodowali załamanie się Francji. Bo Francuzi w chwilowym przyćmieniu swej dwanaście już wieków liczącej mądrości politycznej, uwierzyli, że na prawdę biją się tylko o Gdańsk, a najwyżej jeszcze i o Polskę. Dziś John Smith z Manchesteru i James Carter z Brooklynu i monsieur Durand od de Gaulle'a i Bobby-Australijczyk i Tommy-Kanadyjczyk i Achmed

z Trypolitanii i Wańka z pod Wologdy i Hindus, Murzyn, czy czerwono-skóry człowiek walcząc w wielo-milionowych armiach, pod sztandarami wszystkich państw świata, nie wiedzą o Gdańsku i tego nawet, co mówi wyżej cytowana encyklopedia.

Krwawią się na piargach apenińskich, giną na stepach między Wolgą a Dnieprem, leją krew w dżunglach wysp Pacyfiku, toną na oceanach. Zginęło ludzi milionów już kilkanaście, a raczej kilkadziesiąt, ponad milionów setkę ruszono z ich siedzib, oderwano od rodzin, wyrwano ze środowisk, w których żyli. Walą się w gruzy najwspanialsze miasta, giną bezpowrotnie świadectwa prastarej kultury, świat w męce konania, w płomieniach pożarów szuka nowych dróg...

Czy na prawdę Gdańsk był tego przyczyną? Czy dlatego to wszystko się dzieje, że nie chcieliśmy się zgodzić aby Niemiec z Berlina do Królewca jechał bez kontroli celnej?

Gubią się pojęcia zachodniego człowieka w geograficznych bezdrożach wschodniej Europy. Gdańsk, Lwów czy Wilno — co za różnica. Miasto w Europie... przedmiot sporu...

Bo rzeczywiście nie ma różnicy żadnej. I nawet fakt, że teraz chodzi o obszar powierzchni około 200 tys. km czyli pół Polski, podczas gdy przedtem żądano tylko jednego miasta — nie stanowi zasadniczej różnicy w istocie zagadnienia.

Na prawdę nie można było żądać od Francuzów, Brytyjczyków, Amerykan i t. d. by umierali za Gdańsk. By za gdańską Frauenkirche w gruzy się zamieniały katedra św. Jana, westminsterskie opactwo, czy mediolański „il Duomo”. Nie możemy też wymagać dziś od Brytyjczyków i Amerykan by byli gotowi umierać za... Ale przecież nie o to chodzi.

Kwestie graniczne, dla nas w danym wypadku tak ważne, z punktu widzenia innych mają rzeczywiście tylko drugorzędne znaczenie. I dlatego otuchę i nadzieję czerpać możemy z faktu, że w istocie rzeczy nie chodzi wcale o nasze granice, że spór nie polega na tym, czy Wilno lub Lwów (miasta w Europie...) będą nasze czy nie nasze.

Trzeba tylko aby świat zrozumiał, że istota zagadnienia jest ta sama, co w 1939 r., że zmieniły się nazwy na mapie i kierunek prądu, ale że potop idzie ten sam. A tylko fale które niesie, zabarwione są na inny kolor.

ZBIGNIEW RACIĘSKI

## Komendantka Główna P.S.W.K. Maria Leśniakowa do „Ochotniczki“

Kochane Ochotniczki!

Przesyłam Wam najlepsze życzenia owocnej pracy. Mam nadzieję, że pismo to przyczyni się do jeszcze większego wzajemnego zbliżenia się, dzięki możliwości wymiany naszych myśli, spostrzeżeń, poruszania tematów najbardziej istotnych, planów i zamierzeń na przyszłość, oraz omówienia spraw, które nas nieraz bolą.

Wierzę, że „Ochotniczka” w krótkim czasie zdobędzie Wasze serca, będzie jakby żywą istotą i powiększy szeregi ochotniczek.

Tych kilka słów do Was, moje kochane, przesyłam za pośrednictwem pani Inspektorki Bronisławy Wyslouchowej.

Może będziecie rade wiedzieć, że omówiliśmy wiele spraw tutaj, uzgodniłyśmy i opracowałyśmy wspólnie wiele projektów związanych z naszą służbą, że dzięki pobytowi Inspektorki Wyslouchowej potrafiłyśmy skrócić odległość, która nas dzieli.

Czekamy więc na pierwszy numer „Ochotniczki”, a w przyszłości będziemy się starały zasilac to nasze pismo korespondencją i artykułami z Wielkiej Brytanii.

Ślę Wam wszystkim wiele serdeczności.

p.o. Komendantka Główna P.S.W.K.  
MARIA LEŚNIAKOWA

Londyn, dnia 24 grudnia 1943 r.

## Kobiety w Kraju a P.S.K.



Warszawa w gruzach (Róg Wierzbowej i Pl. Piłsudskiego)

Wróciłam przed kilku tygodniami z W. Brytanii, dokąd udałam się na wezwanie Ministra Obrony Narodowej.

Numer styczniowy „Ochotniczki” był już w druku, więc dopiero w lutym witam się z Drogimi Koleżankami i przekazuję wszystkim ochotniczkom serdeczne pozdrowienia od Komendantki Głównej P.S.K. i od koleżanek tamtejszych oddziałów i służb P.S.K.

Mój pobyt w Londynie przekonał mnie jeszcze bardziej o tym, że praca nasza jest potrzebna i ceniona. Wierzę, że to uznanie zachęci nas do większych jeszcze wysiłków. Wierzę też, że pozycja nasza w wojsku otrzyma prawną podbudowę i formę całkowicie określona.

O tych sprawach trudno mi jednak pisać z wiadomych względów. Łącząc się one wprawdzie z tematem: „Kobiety w Kraju a P.S.K.”, ale w tym, co powiem tutaj, nie wysuwają się na pierwsze miejsce.

Ciągle dochodzą do nas wiadomości o tym, jak pracują nasze kobiety w Kraju. Ale z fragmentarycznych wzmianek trudno wyobrazić sobie tę istotnie wojenną działalność kobiet-żołnierzy, walczących tam w pierwszej linii podziemnego frontu. Zagadnienie to, które tutaj wywołało tyle dyskusji i zadrążeń, tam zostało rozstrzygnięte samorzutnie przez specyficzne warunki, w jakich toczy się wojna z najeźdźcą. Kobiety w Kraju pełnią zasadniczą służbę wojskową i zarówno pod względem liczebności jak i wartości, są czynnikiem ważnym w naszej podziemnej armii.

Bezpośredni kontakt Kraju z naszymi władzami w Londynie i odwrotnie naszych władz londyńskich z Krajem — sprawia, że to, co się dzieje na froncie walki z okupantem jest dobrze znane zarówno z faktów, jak i nastroju. W Londynie po raz pierwszy od wielu lat zbliżył się do mnie Kraj tak bardzo, że niemal odczułam powiew z naszych pól i lasów. Ale też odczułam groźbę bytowania w Polsce tak mocno, że zbladło wszystko, co nazywamy cierpieniem tułaczki. Los był dla naszej gromady łaskawy, Bóg wyprowadził nas z domu niewoli, wyratowaliśmy się dla życia na wolności.

W Kraju kobiety wiedzą o nas, interesują się nami, opiekują się nami, liczą na nas. Bo one tam — są już wyczerpane do ostateczności. Fizycznie i nerwowo. W Kraju jest głód i nędza, więc źle odżywione, źle odziane, bardziej od nas bezdomne, bo

śledzone i ścigane przez Gestapo, ciągle żyjące pod groźbą więzienia i śmierci — pełnią swoją żołnierską służbę w warunkach stokroć gorzszych niż w otwartym boju. One to są naprawdę tułaczkami, mimo, że mieszkają na własnej ziemi. Jakże trudno znaleźć słowa na wyrażenie podziwu i czci dla tych naszych siostr, którym przypadło w udziale wypełnić najcięższy obowiązek i które na zawsze okryły chwałą imię Polki.

Świetnie zorganizowane kobiety w Kraju nie ograniczają się jedynie do sprawy wojny podziemnej. Pracują w szerszym zakresie, bo i działalność kobiet polskich na emigracji jest przez nich bacznie obserwowana. Wiedzą zatem dużo i dokładnie o Pomocniczej Służbie Kobiet. Interesują się tym, co osiągnęliśmy w ramach wojska pod względem praw i obowiązków. Przesyłają do Londynu swoje postulaty nas dotyczące, żądają unormowania naszego stosunku do wojska, naszych uprawnień na dziś i na jutro.

Nie umawiając się z nami, wiedzą o niedociągnięciach, które właśnie usuwaliśmy w Londynie. Były to dla mnie momenty głębokiego wzruszenia, gdy okazało się, jak jednakowo rozumiemy i odczuwamy — my tu i one tam.

Powiedziano mi w Londynie, że kobiety w Kraju liczą na nas. To znaczy, że liczą nie tylko na naszą postawę w pracy i w służbie wojskowej, ale i na to liczą, że po powrocie do Kraju weźmiemy na siebie większość obowiązków, aby przez jakiś czas one mogły odpocząć. My wrócimy zdrowsze od nich, mniej sterane, w zestawieniu z nimi — prawie wypoczęte. Ogromna i trudna robota czeka nas więc w zniszczonym Kraju. Czeka nas pomocnicza służba dla ludzi doprowadzonych do skrajnej nędzy, dla dzieci i młodzieży zagłodzonej, zagruchoczonej, pozbawionej nauki. Musimy stać się instruktorkami i organizatorkami, które rekonstruować będą życie w Kraju od najmniejszej komórki — od gospodarstwa domowego począwszy.

Dziś już pracują Komisje międzysojusznicze nad planem odbudowy gospodarczej świata po wojnie. Ale żadne społeczeństwo dotknięte kataklizmem nie będzie mogło polegać jedynie na tej szeroko ujętej akcji z zewnątrz. Odbudowa musi być dokonana przez te społeczeństwa od wewnątrz, własnymi rękami. Tak — własnymi rękami trzeba będzie najpierw uprzątnąć śmiecie po najeźdźcach, aby w jak najkrótszym czasie nie został po nich żaden ślad. Równoległe z odbudową gospodarczą iść musi odbudowa



Warszawa, ul. Nowy Świat

kulturalna, aby jak najszybciej usunięte zostały zaniedbania tych strasznych lat i uzupełnione placówki zniszczone przez wrogów. Kobiety w Kraju — powtarzam — liczą na nas. Żądają od nas przygotowania się już teraz do tych niełatwych zadań. A ja wierzę, że się na nas nie zawiodą. Niejedną kwalifikację zdobyłyśmy już w P.S.K. Musimy jednak specjalnie przygotować się do pracy, której tam w Kraju się podejmiemy. Wojna wprawdzie jest jeszcze w pełnym toku, wiele spraw z wojną związanych komplikuje się przez polityczne gwałty. Mimo to, nie ulegając zdenerwowaniu, zdyscyplinowane wewnętrznie, gotowe do największych wysiłków i tu i tam w Kraju — nie zaniedbamy niczego, abyśmy od razu mogły stanąć do roboty. Zanim jeszcze obeschną łzy radości, zanim ochłoną wzruszenia i złagodzą się smutki — już będziemy w robocie.

Trzeba to sobie powiedzieć, że nasze przemęczenie, na które nieraz sarkamy, że niewygody, nawet pustynnego życia, nie są spójmierne z tym, co przeżywa Kraj. Mamy tu poczucie bezpie-

## Litania za poległych w obronie wolności

Rozdygotana jest ziemia i wody i powietrze wojną straszniejszą od wszystkich, jakie kiedykolwiek bywały. Skróć jej krwawy pochód i rzeknij — dość — Panie, który jesteś Wolą i Sądem. Przez groby nienazwane polskich żołnierzy rozrzucone, jak Polska długa i szeroka, wśród polnych i leśnych rozłogów.  
Przez mogiły zbiorowe obrońców wolności z 1939 roku.  
Przez dwadzieścia tysięcy bezimiennych obrońców i ofiar Warszawy.  
Przez nieustraszonych żołnierzy poległych w obronie polskiego morza.  
Przez gromady ludzkie zasiekane na gościńcach wrześnieowych ogniem karabinów maszynowych.  
Przez krew, łzy, odwagę nieustraszoną i ból upadku — skróć mękę czekania, przerwij łańcuch zbrodni.  
Przez tułacze drogi żołnierza polskiego.  
Przez poległych w Norwegii, pod Tobrukiem, na lądach, morzach i w powietrzu.  
Przez zaginionych bez wieści lotników i załogi łodzi podwodnych.  
Przez zamrożonych na rosyjskich bezdrożach żołnierzy rannych, śpieszących do armii polskiej.  
Przez trupy oficerów polskich w Katyniu.  
Przez uporczywy mozół i tęsknotę za krajem żywych.  
Przez krew i ich rany — daj zwycięstwo.  
Przez zamordowanych w katowniach wroga ojców, braci, mężów i synów naszych.  
Przez mękę i śmierć w więzieniach, w czasie śledztwa, matek, sióstr, córek i żon naszych.  
Przez milionowe rzesze obywateli naszych i cudzych, mordowanych bestialsko na gościnnej polskiej ziemi.  
Przez zbiorowe groby Treblinki, Majdanka, Bełżca, Sobiboru i Oświęcimia.  
Przez prochy mordowanych w komorach gazowych i spalonych w krematoriach.  
Przez zabitych w Ravensbrueck i Oświęcimiu w salach doświadczalnych.  
Przez rozstrzelanych w Palmirach i strzelanych, wieszanych dzień w dzień, noc w noc — daj, niech przyjdą dni, kiedy nie

czeństwa, bytujemy w bez trosce o chleb codzienny, o odzież. Nasza praca jest jawna, jest określona i systematyczna. Po przeżyciach w ZSRR ozdrowiałyśmy fizycznie i psychicznie w szeregach P.S.K. To, co nam dolega — to tęsknota za Krajem, to obawa o los tych, którzy tam zostali. Wrócimy tam. Powrócimy do prawdziwej wolności, do Ojczyzny nieuszczipionej, aby służyć jej z wszystkich sił.

To nasze postanowienie, powzięte w duszy czy wypowiedziane głośno, nie może w tej chwili dojść do naszych sióstr w Kraju, ale istnieje takie najściślejsze porozumienie między nami, które nie potrzebuje słów. Jest nim miłość największa i najczystsza, zachowana wiernie w każdym polskim sercu, gdziekolwiek bije. Miłością tą jesteśmy związane z krajem, ona jest naszą wspólną barwą, jest wspólnym wojskowym rytmem Kobiet Walczących tam — i nas z P.S.K.

BRONISŁAWA WYSŁOUCHOWA  
Inspektorka Główna

przemoc będzie stanowić o losie i życiu człowieka.  
Przez jasne, wkopane w ziemię spojrzenia wszystkich zamordowanych dzieci z polskiej ziemi się wywodzących.  
Przez dzieci umarłe z głodu i mrozu w towarowych pociągach idących na Sybir,  
dzieci umarłe z wycieńczenia i na zawsze porzucone w dalekich tundrach i stepach Azji,  
dzieci zamarnięte na śmierć w bydlęcych wagonach, wiezione wśród ofiarnie wyciągniętych rąk na śmierć, z Zamojszczyzny do bezimiennych stacji i postojów na mrozie,  
dzieci wydarte matkom i rzucone w płomienie palących się chałup, dzieci rozrywane granatami ręcznymi i rozszarpane przez psy, dzieci trute setkami w komorach gazowych Majdanka i Oświęcimia.  
Przez krzyk ich i wołanie przedśmiertne — mamo!  
Przez bezsilną Matkę i jej krwawe łzy — spraw, niech nigdy już polskie dziecko nie stanie samotnie wobec zbira, który mu mocen jest odebrać życie.  
Niech słabość otrzyma należną sobie obronę, niech znów nabiorą mocy sprawy Ducha, a Sprawiedliwość utwierdzi się na stałe w ludzkich sercach.

(ŻYWIA, tajne pismo kobiet w Kraju, październik 1943 r.)

### „Rozkwitały pęki białych róż”

Nad rzeką Tay, co rwie spieniona i szalona  
Pochyliły się góry cieniem granatowym lasu  
A gotycka katedra czarna i uśpiona  
Przez sen odmierza wieki kwadransami czasu.

Nad rzeką Tay, co Rzymian pamięta najazdy,  
W cichym, górskim miasteczku zakwitają drzewa,  
Ciemności pachną wiśnią, chłodem błyszczą gwiazdy  
i — „rozkwitwały pęki białych róż” — ktoś śpiewa...

JANINA WOYCIECHOWSKA

Szkocja, Dunkeld, 1942.



Dziedziniec Uniwersytetu Jagiellońskiego z pomnikiem Kopernika

## MOJA OJCZYZNA

Jeżeli kiedyś, kiedyś mówiłam „Ojczyzna”  
To były nią: córeczki pokoik na górze,  
Stary fotel przy oknie, i Ojca siwizna,  
Walce Chopina Matki, pod oknami róż...  
Woyciechowski dworek rozsiadły w dębini  
Rozbrzmiewający dziećmi i Liszta Rapsodią,  
Stary portret prababki w czarnej krynolinie  
I Narew rozplakana kurpiowską melodią...

Szkocja, Perth, 1942.

Jeżeli teraz szepnę do siebie „Ojczyzna”,  
To — słowo dziś się modli, choć ma dźwięk śpiżowy,  
I jest to wszystkich ojców przedwczesna siwizna  
I wszystkich głodnych dzieci pochylone głowy.  
To są krzyże przydrożne i Żołnierz Nieznany,  
Warszawa mogiłami i sławą okryta,  
Poznań, Gdynia, Lwów, Wilno, Kraków, Zakopane,  
— To cała Najjaśniejsza — to Rzeczpospolita.

JANINA WOYCIECHOWSKA

# Cywilna sukienka



W Buzuluku otrzymałyśmy pierwsze mundury

Nie trzeba wcale wypierać się tego, że wiele z nas tęskni do cywilnej sukienki. Skromna czy strojna, jest dla nas symbolem szczęśliwej przeszłości, kiedy wszystko dobre niespostrzeżenie pochłaniał czas, dziś tak dłuży się, tak skotłowany niepokojem. Cywilna sukienka należy bowiem do rekwizytów wspomnień i łączy się z szafą, której pewnie już nie ma, z pokojem, który nie istnieje, z domem zrównanym z ziemią. Mimo to, przyjemnie jest bodaj w wyobraźni wyratować ją z tego zniszczenia i ułudnie przymierzyć za przepierzeniem w namiocie. Gliniasta barwa munduru nie jest „twarzowa”, krój „standardowy” nie dodaje postaci wdzięku. Za to ta najmiłsza, zapamiętana sukienka — ten klosz, marszczony rękawek, jedwab, barwa, wymyślny paseczek — dopomagając urodzie, prowokowały uwielbienie.

Deszcz spływający po dachu namiotu, i zaciekający strugami od spodu, wilgotne, przejmujące zimno spłoszyły jedwabną sukienkę. Kobieta w mundurze pozwoliła wiotkiej szmateczce umknąć w czarną słotną noc. „Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy”. Nie, nie lasy już, ale cały Kraj na który zwał się teraz pożar wojny. Jeszcze raz, na nowo wojna, jej gwałt i wrzask, jej łomot i gwizd, jej strach i śmierć. Kobieta w mundurze wstrząsnęła się nie z zimna, ale ze zgrozy. Potem spojrzała na zegarek, nałożyła gumową pelerynę i poszła na służbę. Przy telefonie, przy kierownicy, na sali szpitalnej... jej służba.

Tam, gdzie pracuje, nie ma czasu na rozmyślanie. Ale zdarza się taka chwila, wyrwana niespodzianie z porządku godzin, kiedy kobieta w mundurze doznaje jakby olśnienia. Wtedy mówi do siebie prawie głośno: — Jestem tam, gdzie być powinnam. Wszystko, co robię ma jakieś znaczenie w tym wojennym gwałcie. Moje niewyspanie, moje zmęczenie, moje spuchnięte nogi, mój bolący krzyż — to właśnie refleksy tego, co się dzieje w tym świecie wojny. Jestem — bezimienna — w smutku, w krzywdzie, w cierpieniu i oporze polskim. I wbrew temu, co jest naszą rozpaczą i naszym protestem, czuję się szczęśliwa.

Pozwólcie tej szarej, zmęczonej kobiecie w mundurze na ten patos myślenia. Nie wydaje mi się z tym ani śmieszna, ani przesadna, choć ma na uszach słuchawkę, albo w rękę basen czy cho-

chlę. Pewnego dnia poeta, malarz, rzeźbiarz włoży jej do rąk sztandar i taka już pozostanie w polskiej legendzie.

Powiedziała więc z emfazą, że jest szczęśliwa, a innym razem powtórzyła to samo w skromniejszej wersji: — Jestem zadowolona z pracy, z munduru, z obozowego życia. — Na mówiącą patrzyły wtedy pięknie zrobione oczy i z lekką uśmiechnęły się bardzo karminowe usta. Kobieta w cywilnej sukience stąpała na koturnowych pantofelkach lekko, strzeliście. Trzeba było tej dawnej znajomej, dziś kobiecie w mundurze, opowiedzieć tak samo coś o sobie. — Urządziłam się nieźle, jak widzisz — i cywilna sukienka okręciła się, jak na pokazie mód.

— Nie, nie pracuję — zabrzmiała odpowiedź. Mąż, brat, przyjaciel, niechby i zasiłek uchodźczy wspomagają to nieróbstwo, tę strojność, te chępliwe słowa. Kobieta w mundurze nie była moralistką, więc słuchała uprzejmie o wygodnym życiu, o dniach, które tu tak prędko mijają, że ani się obejrzeń, a już trzeba będzie wracać do Polski. Ależ tak, kóżby wątpli? — do Polski wolnej, wielkiej, potężnej. Nie należy tylko niczym się przejmować, trzeba przeczekać i jakoś się urządzić tymczasem.

Podслуchałam tę rozmowę, podpatrzyłam tę scenę na ulicy pewnego miasta. Wszystko jedno, w jakiej części świata znajduje się to miasto, wystarczy, że jest na szlaku naszej tułaczki. Długo potem myślałam o tych dwóch kobietach, o ich wartości społecznej tutaj, na obczyźnie, i o tym, z jakim dorobkiem wewnętrznym wrócą do Kraju. I oto do jakich doszłam wniosków:

Istnieje Pomocnicza Służba Kobiet, istnieją ochotniczki, które pracują w wojsku i dla wojska. Nie chcę używać słowa: „ofiarne”, bo jest przesadne, więc powiem, że spełniają dobrze swój obowiązek, że nie wymagają zbyt wiele, zadawając się skromnym żołdem a nieraz mniej niż skromnymi warunkami. Są przydatne i jest ich za mało. Są przeciążone pracą i ciągle trzeba się kłopotać o uzupełnienia, i tu, i tam w Anglii. Muszą przecież zastępować mężczyzn, którzy są potrzebni w służbie bojowej.

Ochotniczki P.S.K. pracują jednak nie tylko w wojsku. Obsługują swoją pracą także ośrodki cywilnego uchodźstwa. Tak było w ZSRR, gdzie P.S.K. wyznaczało obsady dla przedszkoli i szkół, tak zwłaszcza w Pahlewi i Teheranie, a potem w Isphahanie. Obozy ludności cywilnej, cywilne szpitale, szkoły, ochronki dla dzieci stały pracą ochotniczek. Władze cywilne byłyby bezradne, gdyby nie przydzielano im tych ekip, które nie tylko pracowały świetnie, ale były tanią siłą roboczą, opłacaną przez wojsko. Pobierały żołd, nosiły mundur i odznaczały się tak cenną w pracy dyscypliną wojskową.

Gospody, sklepy, kantyny Polskiego Czerwonego Krzyża i YMCA'i — prosperowały dzięki pracy ochotniczek. Wszystkie placówki na Środkowym Wschodzie opierały się na tych kobietach w mundurze i dotąd jeszcze są szkoły cywilne, w których kierownictwo, nauczycielki i administracja spoczywa w rękach ochotniczek P. S. K.

Zdarzyło się tak, że Czerwony Krzyż dla stłumienia epidemii, potrzebował siostr i sanitariuszek. Od razu zwrócił się po pomoc do... P.S.K., bo werbunek wśród cywilnych kobiet nie powiódł się. Nie chciały, najzwyczajniej nie chciały.

Wiem, że każde uogólnienie krzywdzi pewną ilość osób. Więcej i w tym wypadku tak być musi. Są kobiety słabego zdrowia, są takie, które opiekują się swoimi dziećmi, są i takie, które pracują doskonale wyposażone i patrzą z góry na ochotniczki, które nawet towarzyskich praw nie mają, bo są przecież „zwykłymi żołnierzami”. To, że wysokie pobory cywilnych urzędników obciążają nasz ubogi, emigracyjny budżet państwowy, nie martwi kobiety w cywilnych sukienkach. Owszem, słyszy się takie zdania: — Głupia byłabym pracować za żołd, kiedy jako biuralistka cywilna dostaję 30 funtów miesięcznie. — I zaraz życzliwe namawianie: — Wystąp z P.S.K., znajdziesz posadę bardzo łatwo.

Muszę tu zaraz powiedzieć, że prawie nie zdarzyło się, żeby ochotniczka uległa tym kuszącym namowom. Jest coś, co ma większą wartość dla kobiety w mundurze niż ilość funtów — jest to wierna, bezinteresowna służba dla sprawy, jest to honor żołnierski, którym każda z nas się szyci. Bardzo trudno nawet najwymowniej szeptem wypowiedzieć, czym jest to nasze wysokie samopoczucie, które każe nam trwać na stanowisku, wbrew wysiłkom fizycznym i wbrew wielorakim innym utrapieniom. Może kiedyś później, w wolnym już Kraju potrafiemy to zrozumieć lepiej i określić takimi słowami, które dotrą do istoty naszych przeżyć i odczuwań.

Zanim to jednak nastąpi, żyjemy tu, zwłaszcza teraz, kiedy to nasze polskie sprawy weszły w okres ciężkich prób, w cierpliwą nieustępliwość pracy. My — P. S. K. — I jest nas, jak powiedziałam, za mało. I mogłoby nas być więcej. Dwa razy, trzy razy tyle. Tysiące Polek — zdrowych, młodych, samotnych — tu na Środkowym Wschodzie, w obozach irańskich, w ośrodkach afrykańskich, w Anglii, czy Szkocji — woli jednak obnosić swoje strojne albo biedniutkie zasłkowe sukienki cywilne. Woli próżnować, bawić się czy nudzić, „urządzać sobie życie”, albo popadać w depresję zamiast pracy zorganizowanej i celowej.

Nie trzeba szuka przyczyn tego stanu rzeczy w jakichś zawiłych dociekaniach psychologicznych. Odpowiedź na pytanie, dlaczego nasze cywilne kobiety stronią od pracy w szeregach P.S.K., jest bardzo prosta. Są wygodne, są leniwe. Mam dość „cywilnej” odwagi, żeby to powiedzieć bez obślonek. Kobiety, którym nic nie stoi na przeszkodzie, żeby wstąpić do P.S.K., a które wolać próżniacze życie, nie są dobrymi obywatelkami w ZSRR, czy siłkach od lat, pasyżują na swoich cierpieniach w P.S.K., a które wolać nawet tu, albo na innej emigracji, ludząc się, że te cierpienia będą wystarczającą legitymacją po powrocie do Kraju. Lata jednak idą. Cierpienia zsyłek, łagrów, więzień, mamy za sobą, przeciągająca się tułaczka jest egzaminem z naszych wartości społecznych, ideowych, ludzkich.

Kilka tysięcy kobiet zdało ten egzamin. Dziesiątki tysięcy — nie. Kilka tysięcy kobiet wprost z obozów pracy przymusowej, z więzień i z zsyłek zgłosiło się do P.S.K. Znam takie, które nie przerwały tej pracy nawet na kilka tygodni urlopu. Znam takie, które zatajają swoje wycieńczenie, które wolać „przechodzić” grypy i ataki malarii, wiedząc, że nie ma komu zastąpić je w pracy.

To, co tu piszę, nie jest werbunkiem, nie jest „propagandą”. Dyktuje mi te słowa wstyd za te kobiety polskie które nie nauczyły się niczego w tych latach naszego nieszczęścia. I bardzo mi ich żal, tych próżnujących, pustych kobiet. Bo, z czym wrócą do Kraju? Czym się wykażą przed tamtymi, które wykazały się bohaterstwem walki i pogardą śmierci?

W szczęśliwszej od nas Anglii, gdzie kobiety brytyjskie mają swoje domy rodzinne i stąpają po swojej własnej ziemi — nie ma prawie kobiety, która by nie pracowała na rzecz wojny. Olszy. mia armia tych kobiet brytyjskich przyczyniła się do zwycięstwa żołnierzy walczących na froncie. Cywilna sukienka nie jest tam powodem do przechwałek. Tam mundur, nie „twarzowy”, nie dodający „kobiecego wdzięku”, jest chlubą i sprawdzianem wartości. A kto w związku ze swoją służbą nie ma prawa do noszenia munduru, nosi przynajmniej znaczek na cywilnej sukience, czy na kłapie kostiumu, aby wylegitymować się przed surową opinią ze swojej pracy społecznej. Pracy bezinteresownej, nie obciążającej skarbu Imperium Brytyjskiego.

Patriotyzm nie może być głołosłowny. Uczucie to wymaga zawsze potwierdzeń, tym bardziej — dziś. Nie poświęceń, lecz zwyczajnych, codziennych potwierdzeń przez pracę, przez najmniejsze choćby uczestnictwo w wojennym wysiłku, który jest jedynie spólnym z obecnym czasem straszliwych wydarzeń dziejowych. Zdaje mi się więc, że cywilna sukienka noszona przez tak wiele kobiet polskich przebywających na obczyźnie, nie jest owym symbolem szczęśliwej przeszłości, lecz bagatelizowaniem przyszłości, która domaga się od nas pracy i służby.

Tak właśnie — pracy i służby.

M. M.



Zastrzyk

# Dwie „Ochotniczki” — ścienna i drukowana

LIST ZE SZKOCJI



Autorka artykułu z pierwszym numerem „Orla Białego” — w Buzuluku (ZSRR)

## Drogie Koleżanki!

Przyszło do nas żywe słowo o Was. Nie reportaże, nie wiadomości radiowe, nie wieści nawet — chociaż i tych pilnie i z ciekawością słuchamy.

Słowo było żywe, bezpośrednie, wcielone w osobę P. Inspektorki *Wysłouchowej*, która w tych dniach odwiedziła nasz Obóz, leżący jak się to zwykle mawiać językiem wojskowym — „gdzieś w Szkocji”.

W otaczającej nas wyspiarskiej pogodzie, która wbrew tradycji, nie jest mglista i deszczowa, chociaż dość chłodna — od tego słowa „powiało innością”. Gdy zgromadzone w świetlicy obozowej słuchałyśmy pogadanki Inspektorki *Wysłouchowej*, zrobiło



Ochotniczki w sukniach — cywilnych

się nam jaśniej i goręcej, powiało upalnym wiatrem, zapachniało południowym owocem. Usłyszałyśmy o warunkach Waszego życia, o powodzeniach i troskach, a nade wszystko o Waszej zorganizowanej, pięknej pracy i jej wynikach.

Wrażenie było duże. Poddaliśmy się mu wszystkie; zarówno te, które nigdy stopami nie dotknęły ziemi, na której obecnie przebywacie, jak i te spośród nas, które dzieliły z Wami szlaki wędrownie i chwilowe postoje, dawniej mrozy, a potem żary południa. Bliskie było to wszystko, co usłyszałyśmy o Was, bliskie, choć inne. Ale to uczucie łączności z Wami, mimo odległości i odmiennych warunków w których pracujecie, uczucie, że jesteście siostrami we wspólnych dążeniach i że cel nasz jest jednakowy — nie jest ani przesadą, ani frazesem.

W tym uczuciu piszę dziś do Was, drogie Koleżanki, nie artykuł, lecz list. Bo z bliskimi swoimi porozumiewamy się przecież listownie... Niestety, nie teraz i nie wszyscy — jeśli chodzi o naszych najbliższych — a najdalszych — żyjących w codziennej męce. I pisząc te słowa, czuję, jak bezmiernie szczęśliwe jesteśmy w porównaniu z nimi, będąc WOLNE w piątym roku tych najstraszniejszych czasów.

Jesteśmy WOLNE... Jakież ogrom zawiera to słowo. Nie cięży nad nami dzień i noc zmora śmierci, ani cierpień w więzieniach, obozach, łagrach. Mówimy, czujemy, piszemy po polsku — i nie jesteśmy za to torturowane!

Więcej: nosimy mundur z polskimi odznakami — i nie zapełniamy za to koncentracyjnych obozów...

Więcej jeszcze: pracujemy — nie pod batem wroga i dla jego siły — ale pracujemy ochotniczo dla wielkiej, wspaniałej mocy naszego własnego Narodu, dla Jego Armii, której część same stanowimy.

To jest szczęście. To jest szczęście takich rozmiarów, że nie zawsze sercem ogarnąć je można.

Tak się dziwnie składa, że piszę do Was, Koleżanki, w dniu 11 listopada i wiem, jaki zaszczyt ma spotkać mój list. Ma się on ukazać w numerze „OCHOTNICZKI”, gdy tylko dotrze do jej redakcji.

Kiedy to będzie — nie wiem. Wiem tylko, że dużo czasu upłynie od tej daty — a przecież chciałabym do niej w kilku słowach powrócić i poruszyć parę wspomnień w niej zawartych.

Nie będę pisała o historycznym znaczeniu tej daty dla nas, wszystkich Polaków: o dwudziestopięcioleciu naszej, chwilowo utraconej Niepodległości dużo pięknych i krzepiących artykułów umieści dziś prasa polska całego świata, jawna — i ta najkosztowniejsza, bo krwią płacona — podziemna. I napiszą to inni na pewno lepiej ode mnie.

Chodzi mi o co innego — cofnąć się chcę tylko dwa lata wstecz. 11 listopad 1941 r. zastał wiele z nas w Buzuluku. Ciekawam, czy jest choć jedna z ówczesnych ochotniczek, która nie pamięta tego dnia wstrząsu i przebudzenia. Chyba nie ma takiej. Tego niesposób zapomnieć. Bez przesady można powiedzieć, że mieliśmy wtedy wszyscy dusze biało-czerwonego koloru i Orła

Białego w piersiach. Wyraz temu dawaliśmy w samym tonie głosu, w sposobie wypowiedzania słów.

A sposoby były dwa: mówiliśmy z radosną ulgą i — my, ochotniczki, mogłyśmy — pisać!

Było już wtedy w czym pisać i „drukować”. Już wtedy wraz z nami urodziła się pewna najpiękniejsza „Ochotniczka”, taka pisana przez duże „O”. Przepraszam — nie pisana. Kaligrafowana właściwie „drukowana ręcznie”, godzinami, dniami całymi — pamiętasz, kochana Nato?...

Do dziś dnia widzę Twoją czarnowłosą głowę, schyloną nad wielkim arkuszem, na którym w „szpaltach” i „kolumnach” stawiłaś jedno po drugiej wymyślnie literki. Nad tym arkuszem schylały się kolejno i inne głowy, ciemne i blond, a ręce najstarszej rysowały ilustracje i winiety.

Potem taką piękną, kolorowo malowaną „Ochotniczkę” umieszczano się na iskrzącej się szronem ścianie „świetlicy-kaplicy-jadalni” — jedynej sali, które spełniała wszystkie te zadania.

Ileż to było starania, bieganiny, kłopotów, zanim następny numer zajął honorową ścianę! Ile się natrudzić musiała p. Maria D. — pierwsza redaktorka — przeglądając rękopisy — narażając się z autorkami...

A skąd wziąć papier? lub — kto ma farby?...

Nie, nie było stanowczo drugiego tak ślicznego i ulubionego pisma. Chyba... czarująco wesoły „Łazik”, który z przeciwległej ściany konkurował z poważną „Ochotniczką” i sypał do niej łobuzersko „oko” — istne enfant terrible Ośrodka Nr. 1.

Ale „Ochotniczka” nie reagowała obrażą: uśmiechała się, owszem, ale pogodnie, serdecznie; częściej jednak była poważna, powagą nie nuda, lecz zapału, pędu wzwyż, nawet — natchnienia.

I w takim to wspaniałym piśmie urodziłam się wówczas poraz pierwszy — jako „drukowana” autorka. Te słowa pachną może nieco chępliwością, ale — przyznając bez wstydu — jestem z tego dumna. Dumna musiała być i była każda z nas. Nie miejcie mi tego za złe, drogie Koleżanki.

Ale dlaczego dziś piszę o tym? — spyacie na pewno.

— Dlatego, że tak się wszystko dziwnie złożyło. Dziś jest 11 listopada, dzień, w którym dwa lata temu w „Ochotnicze” ukazał się mój wiersz p. t. „Trzy listopada” — a w tych dniach, po upływie dwóch lat mówiła nam p. Inspektorka *Wysłouchowa*, że ochotniczki na Wschodzie mają swoje własne — tym razem prawdziwe pismo, drukowane w setkach egzemplarzy. Mówiła o tym z dumą, jako o jeszcze jednym szczeblu Waszych, Koleżanki, osiągnięć — i dziś ja znów z dumą do Waszego-naszego wspólnego pisma — piszę.

Dwa lata minęły od jego początku i od początków naszej służby — i wzorem tego pisma, które tak się rozwinęło i zwielokrotniło i my wzrosłyśmy liczebnie po wielokroć i praca nasza objęła liczne i ważne posterunki, a zasięgiem swoim wybiegła daleko w świat. Do naszych szeregów dołączyły Polki, rozrzucone wojną po Europie: z Anglii, Francji, Hiszpanii, dalej z Algieru, a nawet Kanady i Argentyny. Więcej: dołączają nawet z pochodzenia cudzoziemki, które jako żony Polaków i wskutek tego polskie obywatelki, garną się do służby w szeregach P.S.W.K.

Jesteśmy dziś dużą pozycją, najpiękniejszą pozycją, jaką Polki mogą być poza granicami Kraju. I to jest, zdawałoby się, wszystko, na co nas stać; to jest dużo, ale jednak nie najwięcej.



Raport

Pamiętajmy, że tamte dają więcej, bo dają — choć nie w mundurach — ofiarę z własnej krwi.

Rywalizujemy z nimi w najszlachetniejszym znaczeniu tego słowa: rywalizujemy spełnieniem każdego obowiązku i każdego trudu. Przyczyniamy się, każda swoją drobną cegiełką, wykonaniem wszystkiego bez reszty. Niech nasz wkład będzie jak najwięk- kszy: wraz z nim rośnie nasza wiedza i przydatność. Za nasz skarb wolności płacmy — pracą.

Trzeba już kończyć, choć nie napisałam jeszcze nic o nas, tu w Szkocji. Cóż mówić? — Uczymy się i pracujemy tak jak Wy, albo prawie tak — w zależności od innych warunków. Tylko w nieco mniejszej skali, bo jest nas tutaj mniej.

Ale cel mamy wspólny, gdziekolwiek byśmy się znalazły. Cel znany i ukochany jednakowo przez nas wszystkie — przyszłość naszego Kraju.

HALINA TERLECKA

Obóz PSWK  
„gdzieś w Szkocji”  
11.XI. 1943 r.



Świetlica w obozie P.S.W.K. w Szkocji



Pomnik ks. Józefa Poniatowskiego i Grób Nieznanego Żołnierza w Warszawie, w nocnym oświetleniu

## TAMTEN BRZEG NOCY

PISARZ (siedzi na ławce w Regents Parku; noc)  
Przyjaciółki z lat dawnych, kochanki młodości,  
Jeśli mi jeszcze wolno tym słowem miłości,  
Któremu tyle znaczeń wzięto lub dodano,  
Nazywać was... Słuchajcie. Dostałem dziś rano  
Wasze listy dalekie i czytam ze łzami  
Wasze słowa i wasze łzy między słowami.

Już minął dzień i wieczór gwiazdami zakwita,  
Rozczesując wspomnienia, jak złociste włosy,  
A ja jeszcze przy listach, a ja jeszcze czytam,  
I słyszę wasze głosy... słyszę wasze głosy...

ANTONINA

Miły mój, dawno nie ma już wody w strumieniu,

Gdzie chodziliśmy razem o porannym cieniu  
I gdzie mówiłeś, patrząc na moje odbicie  
W odpływającej wodzie, że kochasz nad życie.  
Fala uniosła obraz tamten i urodę  
Młodości nieprzeżytej, a przez to tak młodej.  
Dziś nie idę nad rzekę, nie szukam marzenia,  
Nie słucham słów uroczych, od których sny miękną,  
Dziś stoję w środku walki. I w kręgu cierpienia  
Walczę o rzeczy inne...

(szepciem)

Ale życia piękno  
Kocham po cichu zawsze. I jeśli go we mnie  
Nie odnajdziesz już więcej w twarzy z bólu ciemnej,  
Ani w ustach zaciętych, ani w szorstkiej ręce,  
Ani w stężonych plecach i w lichej sukience,

Pamiętaj, że je ujrzyś zawsze, wbrew cierpieniu,  
W nieśmiertelnym uśmiechu miłości... w spojrzeniu.  
(znika)

ZOFIA

Jak ty, po nocach nie śpię. I późną godziną  
Wsluchuję się w szept świata i szukam wśród cieni  
Tych sił nieodgadnionych, które od gwiazd płyną,  
Żeby znów budzić ludzkość na niehumanitarnej ziemi.

Próżno dramat historii skul nas tępym młotem,  
Próżno upodlił serca i hańbą odgradza,  
My, co nocą nie śpimy, wiemy dobrze o tym,  
Że miłość nie umiera i śmierć jej nie zdradza.

Wystarczy jedna gwiazda chmurna i daleka,  
Dojrzana z krat więzienia przez rozpaczy bielmo,  
Żeby wstrząsnąć rozpaczą. I wiarę w człowieka  
Przywrócić sercu znowu, jak pieśń, nieśmiertelną.

I to jest moja wiara, której zwątpień ostrze  
Nie dotknęło. Powierzam ją nocy, jak siostrze,  
Żeby ci ją przyniosła i podała w ciszy...  
Jeżeli gwiazda spadnie, znaczy, że mnie słyszysz.

(gwiazda spada, cień znika)

LUDWIKA

Czy pamiętasz mnie jeszcze? To ja, to Ludwika,  
Ta sama, co przed laty — ta sama, co z tobą  
Czytywała poezje przy szepcie słowika  
Między lampą naftową a nocą majową.

Wojna zmiotła to wszystko. Ten czar już nie trwa.  
Poetyckość rozwiła się jak wstęga bierna,  
Ale słowa zostały i pieśń dalej bije.  
Czy ty jesteś jej wierny? Bo ja zawsze wierna.

Mimo nędzy i grozy i chłodu tyś nie wario,  
Przenosił ją uparcie pod chustką wytarłą,  
Ukrywał po piwnicach, po sieniach, na strychu,  
Przechowywał po kątach, powtarzał po zwichu.  
Czasem pod jej ciężarem upadam i ginę,  
Ale znowu się trywam, ale znowu płynę.  
Nie chcę żadnej pociechy i żadnej pomocy,  
Ja chcę ją tylko przenieść na tamten brzeg nocy.

Żeby zabłysła znowu, gdy maj przyjdzie nowy.  
Innym, szczęśliwszym od nas, już nie nam... Bądź zdrowy.

STANISŁAW JALIŃSKI

(ze zbioru wierszy „Tamten brzeg nocy”  
M. I. Kolin — Londyn).

## Kobieta brytyjska wygrywa wojnę

Jestem szczęśliwa, że mogę za pośrednictwem „Ochotniczek”, urodzonej jeszcze w Buzuluku jako gazeta ścienna przesłać Wam najserdeczniejsze żołnierskie pozdrowienia. Zapewniam Was, że w najcięższych chwilach mojego życia biegnę myślą i sercem do Was, do mojej serdecznej gromady, od której los mnie oderwał. Kiedy Wasza Główna Inspektorka, którą tu gościliśmy, tak ładnie nam o Was opowiadała, jakoś lepiej i cieplej zabiło serce. Zwierzę się Wam jeszcze z jednej tajemnicy — że tęsknimy tu do Was, do gromady z Pustyni, do słońca, do pomarańcza, a przede wszystkim do ciepła dobrego, ludzkiego życia w gromadzie.

Piszę ten list, a raczej artykuł, dlatego, aby podzielić się z Wami, Miłe Koleżanki, wrażeniami z pobytu na terenie Szkocji i opowiedzieć o pracy kobiet brytyjskich. Warto poświęcić trochę czasu, aby, czytając ten pobieżny artykuł, zapoznać się nieco z szerokim zakresem pracy organizacji kobiecej „Womens Voluntary Services” for Civil Defence in Scotland. Trudno mi jest omówić szczegółowo pracę tej organizacji ze względów wiadomych. A zresztą musiałabym zapełnić cały numer „Ochotniczek” tym tematem. Tyle powiem, że kobieta brytyjska pracuje ze spokojem i z wielką miłością dla sprawy człowieka. Pracuje ona skromnie, w jej obejściu, w jej słowach uderza pogoda ducha i życzliwość, a nade wszystko świadomość celu. Wszystkie stany i klasy społeczne pracują harmonijnie dla wspólnej wszystkim Wielkiej Sprawy Zwycięstwa. Służba jest bezinteresowna, oparta na ofiarnej pracy obywateli i na poczuciu odpowiedzialności nie tylko wobec Państwa ale wobec całej ludzkości. Myślę, że wiele z tych cech — nazwijmy je angielskimi — powinnyśmy przyswoić sobie i wpajać je wszystkim Polakom.

Organizacja WVS powołana została przez Min. Spr. Wewn. w r. 1938 do spełniania jednego celu tylko, a mianowicie do obrony przeciwlotniczej. Zasięg pracy powiększał się jednak z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc. Dziś obejmuje następujące działy:

- a) Organizowanie Oddziałów i opieki nad nimi.
  - 1) Clothing Depot — Magazyn Odzieży. (Kier. Of. odzieży)
  - 2) Voluntary Car Pool — (Oficer transportowy)
  - 3) Canteens — lotne wozy kantynowe (Of. kantynowy)
  - 4) Housewives Section — (Oficer kwaterunkowy)
  - 5) Fruit distr. — (Oficer owocowy)
  - 6) Salvage — (Ofic. propag. — oszczędz.)
  - 7) Bureau Inform.
- b) Dla wojska.
  - 1) Wyszukiwanie rodzin, które udzielił gościnny na okres urlopu,
  - 2) Cerowanie dla wojska,
  - 3) Informatorki dla wojska na dworcach kolejowych i autobus. i w portach,
  - 4) Kantyny lotne dla wojska,
  - 5) Przyszywanie odznak na mundurach,
  - 6) Odwiedzanie chorych i rannych w szpitalach,
  - 7) Robienie ręcznie wcielanych rzeczy dla wojska,
  - 8) Zaopatrywanie szpitali w bandaże, tampony etc.
- c) Różne inne.
  - 1) Transfuzja krwi,
  - 2) Udzielanie pracy zarobkowej,
  - 3) Jarzyny dla poławiaczy min,
  - 4) Zbieranie ziół leczniczych,

5) Pomoc w żniwach,

6) Opieka nad dziewczętami zajętymi w pracach rolnych.

ad a/1. Clothing — zajmuje się zaopatrywaniem w odzież. Jest to jeden z najgłówniejszych działów prac WVS. Jedną trzecią członkiń tej organizacji zajęta jest w Clothingu. W samej Szkocji jest 368 składów odzieżowych, które gromadzą i rozdzielają odzież z całego świata. Przede wszystkim otrzymuje tę odzież ludność z miejscowości zbombardowanych, dalej ewakuowani z wielkich miast na wieś i emigranci z zagranicy. Dla Polaków sprawy te referuje „Polish Relief Society”. Personel pomocniczy składa się z kobiet z różnych sfer. Praca jest bezpłatna.

ad a/2. Voluntary Car Pool — jest organizacją właścicieli cywilnych samochodów dla ewent. przewozu ludności, która uległa bombardowaniu. Obsługują ją cywilne kobiety, umiejące kierować samochodami.

ad a/3. Canteens — są to lotne wozy kantynowe, kuchnie-bufety. Zadaniem ich jest dowożenie gotowego pożywienia dla wojska w najtrudniejszych warunkach terenowych w chwili, gdy zabraknie wojskowych kuchni polowych poza frontem; dowożenie pożywienia obywatelom, którzy ulegli zbombardowaniu; dowożenie dla biednej ludności; urządzenie imprez dla biednej ludności.

Widziałam, jak Canteens pracuje. W ogrodzie „ZOO” odbywało się dożywianie całodzienne dla 14.000 osób. Od godz. 10 rano do 20 wieczorem przychodziły matki z dziećmi i osoby starsze, otrzymując na śniadanie — starsi kubek herbaty i kanapkę, dzieci świeże mleko z biszkoptami. Obiad składał się z dwóch dań — zupa, mięso konserwowe, kartofle, fasolka konserwowa. Podwieczorek — herbata i biszkopty. Pożywienie otrzymuje się za okazaniem kartek, które dzieciom szkolnym wydają szkoły, a innym organizacje, do których należą, bo wszyscy tu muszą należeć do jakiejś organizacji. Kantyny lotne są to wozy urządzone z autobusów. Urządzenie jest kompletne, niemal luksusowe. Przez cały dzień podczas wydawania posiłków przygrywa orkiestra, odbywają się widowiska taneczne w narodowych strojach szkockich. 14.000 ludzi obsługuje tylko 50 osób!

ad a/4. Housewives Section — utworzona została celem ułatwienia pracy ochotniczki tym kobietom, które w związku z pracą domową nie mogą podjąć się pracy poza domem. Poddano je w szkoleniu i każda pracuje w obrębie ulicy, przy której mieszka. Do sekcji pań domu należy również opieka nad domami przygotowanymi dla bezdomnych na skutek bombardowania. Zwiedzałam takie domy. Pokoje przygotowane dla tych, którzy tu przyjdą, kominek (nawet o zapalczakach pomyślano), pościel czysta związana w tobołek, woda, czajniki, prowianty, łazienka, mydło, szczotki do rąk i zębów, grzebienie i t. p. Członkini sekcji pań domu opiekuje się tymi mieszkaniami, oczywiście bezpłatnie. Otrzymuje od sekcji pieniądze nawet na kwiaty, aby ci, którzy tu zamieszkają, czuli się na prawdę jak w domu, po stracie własnego domu. Ponadto istnieje stały dyżur członkiń sekcji, dniem i nocą, aby można było natychmiast zaopiekować się ofiarami bomb.

ad a/5. Fruit distr. — Oficer owocowy. Piękną się nazywa, prawda? Otóż tej kobiecie, czyli oficerowi owocowemu, podlegają 32 rejony. W każdym rejonie odbywa się indywidualne rozdawnictwo soków owocowych, tranu, witamin wszelkiego rodzaju.

Odbywa się to wszystko cicho i sprawnie. Produkty te otrzymują kobiety i dzieci wszystkich sfer. Wydaje się tylko na kartki z określeniem racji. Książki i zapisków nie prowadzi się, bo kartki są dostateczną kontrolą.

ad a/6. Salvage — zbiórka odpadków. W tym dziale pracy WVS zajmuje się tylko propagandą. Członkinie WVS odwiedzają domy i zachęcają ludność do zbierania odpadków. W niektórych ośrodkach organizują zbieranie odpadków żywnościowych dla bydła, oraz wielu innych przedmiotów, których wartość urasta w miliony. Widziałam taki Salvage — zajmuje on tak dużą przestrzeń jak obóz w Rehovoth. W olbrzymim 4-ro piętrowym budynku mieszczą się hale maszynowe. Tu odbywa się segregowanie odpadków. Przedmioty blaszane wędrują do hali, gdzie prasuje się wszelkiego rodzaju blachy, a w innej hali prasuje się i wiąże w duże bunty szmaty, tak samo dzieje się z papierem. Stare samochody, wagony, części samolotowe rozbiera się. Części zdadne do użytku odkłada się osobno, a resztę żelazniwa przetapia się tlenem w żelazne bryły. Pokazano mi tam dziwny kosz, do którego składa się przedmioty przypadkowo zamieszane między odpadki. Są to: biżuteria, złoto, perły, brylanty, srebrne noże, widelce, łyżki. Właściciele mogą je z powrotem otrzymać w zarządzie Salvage.

ad a/7. Bureau Inform. jest oczywiście biurem informacyjnym. Zadania tego biura są ogromne. WVS zorganizowało to biuro dla wojsk alianckich. Kobiety które tu pracują, muszą znać obce języki. Biuro dysponuje tłumaczkami w 21 językach. Udzielane tu są wszelkiego rodzaju informacje. Pomaga się przejeżdżającym w zwiedzaniu Szkocji, wyszukuje się domy prywatne na czas spędzenia urlopu, pomaga się w pobieraniu nauki języka angielskiego, organizuje wycieczki i t. d. Tłumaczki biura przydziela się również instytucjom rządowym.

Nie omawiam dokładniej pkt. b) i c) — bo wymienione działy pracy same się tłumaczą. Zbyteczne też byłoby dowodzenie, że WVS jest jedyną organizacją, która potrafiła wyjść poza ramy swojego pierwotnego przeznaczenia i ogarnąć tak liczne dziedziny pracy pomocniczej.

Inna instytucja cywilna „Citizens Advice Bureau” informuje swoich obywateli o różnych zawiłych sprawach, a więc: racjonowanie żywności, otrzymywanie dodatkowych kartek odzieżowych, odszukiwanie zaginionych podczas wojny rodzin, informowanie w sprawie korespondencji z zagranicą, no i wreszcie zajmuje się opieką nad matką i dzieckiem. Oczywiście i ta instytucja obsługiwana jest przez kobiety.

Wymienię tu jeszcze bardzo poważną instytucję, z którą się zapoznałam. Jest to „National Council of Women's”. Jest to organizacja zajmująca się pracą społeczną i sprawami kobiet. Ma więc takie zadania: a) prawa socjalne kobiet; b) reformy szkolne; c) budowa domów; d) wnioskowanie różnych ważnych spraw do Parlamentu; e) wnioskowanie do Zarządów miast; f) pensje emerytalne dla wszystkich.

Wszystkie kobiety na świecie mają ambicję aby powierzone im prace wykonać jak najlepiej. Tu jednak widzi się naocznie rezultaty dobrej pracy. Kobiety brytyjskie walczą bowiem dobrą pracą o równe prawa. Po tej wojnie nikt nie będzie mógł zaprzeczyć kobietom brytyjskim tych równych praw. Dziś już mówią w Wielkiej Brytanii, że kobieta brytyjska wygrała wojnę.

BRONISŁAWA PRYZYTAJKO

## Przypominamy się „Sitwie”

Z okazji dwulecia pisma batalionów Brygady Żubrów Strzelców Wileńskich wydana została piękna jednodniówka p. t. „Sitwa Rysiów, Żbików i Wilków”. To pamiątkowe wydawnictwo, jako obraz indywidualnych i zbiorowych przeżyć, zawiera bogatą treść nagromadzoną z okresu dwóch lat. „Sitwa” przedstawia się luksusowo pod względem graficznym i jest jeszcze jednym dokumentem naszych wysiłków wojskowych na emigracji. Przeczytałam „Sitwę” od deski do deski. Jakże to wszystko jest mi bliskie, dobrze znane i swoje!

Pewnego jesiennego popołudnia 1941 r. niegościnnie, zimno, obcy wagon wypełniony gromadą przyszytych Rysiów, Żbików i Wilków, wyrzucił mnie na stacji Tatiszczewo. TATISZCZEWO — słowo, które każdą literą wżarło się w serce, bo było pierwszym potwierdzeniem cudu wolności i cudu organizowania się Armii. Obczyzna stawała się Polską, którą tworzyliśmy tam wspólnym, nieraz nadludzkim wysiłkiem.

Tatiszczewo przyjęło nas, przybyłych z różnych stron ZSRR, radośnie i gościnnie żołnierską, gorącą zupą, żołnierską porcją chleba. A my zaraz zabrałyśmy się do roboty. Jedne poszły podawać do stołu, zmywać naczynie i szorować podłogi, garnki, wiadra. Inne od razu wzięły się do zarządzania szpitala. Przeznaczony na ten cel letni barak był mocno przewiewny, bez pieców, światła i wody. Tu pracowało potem wiele z nas. Dziś określamy to po prostu, że warunki pracy w tym szpitalu były ciężkie. Ale wtedy dla wycieńczonych zsyłką, łagami i więzieniem był to trud przekraczający nasze siły. Chwilami opadały nam ręce — te ręce zgrabiłe z mrozu, popękane aż do krwi.

W głębi ogrodu, w budyneczku skleconym z dykty, w małym pokoiku urządziłyśmy pralnię i szwalnię. Prało się bieliznę na nieosłoniętym ganeczku, tu też była kuchnia skądś zdobyta z jedną fajerką, na której grzało się wodę. Tę zaś przynosiłyśmy z rzeczki, czerpiąc z porębli. Bielizna zamarzała, zanim zdołano ją wyżąć z wody.

Zakres pracy ochotniczek P. S. K. rozszerzał się. Czekala na ważną robotę — świetliczarstwo. Świetliczarki, obdarowane zniszczonymi i za wielkimi butami, parę razy dziennie przemierzały nigdy nie wysychające błoto, aby do namiotów Wilków, Rysiów i Żbików nieść słowa najnowszych komunikatów, przepisywanych przez liczny zastęp ochotniczek w wielu egzemplarzach. Drżałyśmy też z głodu i chłodu na próbach przygotowujących „ogniska” i przedstawienia, które były wtedy, po latach niewoli, najbardziej emocjonalnym czynnikiem w życiu Dywizji.

I tak samo jak żołnierze, chodziliśmy do Idolgi po drzewo, aby pomagać w budowaniu ziemianek. Poznałyśmy smak żołnierskiego życia — twardego i surowego, ale pięknego. Dało nam je w darze Tatiszczewo i nikt nam nie odbierze tych przeżyć, nikt nie wykreśli ich ani z naszej pamięci ani z pamięci kolegów, nawet mimo przemilczeń „Sitwy”.

Potem przyszło południe ZSRR. Mokry, błotnisty Dżałał-Abad z tyfusem i innymi epidemiami. Trzy kroniki „Sitwy” otworzyły okres Dżałał-Abadu tyfusem a zamknęły go cmentarzem. My,



Ochotniczki opiekują się dziećmi

ochotniczki, tak jak nas tam było 140 — wszystkie bez wyjątku stanęłyśmy do pracy w szpitalu. Była to zawzięta, nieustępliwa walka o życie każdego Żbika, Wilka, Rysia, o tych z Blyskawic i Zabłąkanych Sokół. Zastępy sióstr, sanitariuszek, lekarek, praczek, kucharek i wodonošek szły w zawody o Wasze tak cenne dla nas życie. Wodonoški rekrutowały się z tych ochotniczek, które pracując po za szpitalem w innych działach, musiały przed pójściem do pracy złożyć swoją daninę na rzecz szpitala — nosząc wodę ze studni do kuchni, pralni i do każdej sali szpitalnej. Trzeba było dziennie „zaledwie” kilkaset wiader wody, aby zaspokoić potrzeby szpitala. Inne ochotniczki z poza obsługi szpitala musiały rano przed pójściem do swoich zajęć — wyszorować kołtary i schody przestronnego budynku szpitalnego. Prawie wszystkie ochotniczki, które bezpośrednio zetknęły się z chorymi, zapadły na tyfus. Przetrzymałyśmy jednak ten okres dzielnie i spokojnie, choć przypało nam w udziale to najgorsze: zamykanie oczu na wieczny odpoczynek zawsze bliskich naszym sercom — Rysiów, Żbików i Wilków...

Kiedy epidemia została pokonana, praca P.S.K. poszła już normalnym trybem. Więc obsługa „Sitwy” i innych bądź to na stacji telefonicznej, bądź też pomagając w wydawaniu gazet dywizyjnej i komunikatów, bądź wreszcie ucząc analfabetów.



Dla żołnierskiego kotła





Rozbitkowie ORP „ORKAN” w szpitalu w Edenburgu pod opieką Pestek

jeżdżąc w zespole „Czołówki” do oddziałów, ucząc dzieci Sitwy i dokarmiając je z naszych racji żywnościowych tak samo jak to czynili wszyscy żołnierze.

I tak samo jeździliśmy do odległych rejonów zamieszkałych przez naszą ludność cywilną, aby nieść jej pomoc w miarę naszych możliwości. Nasze skromne datki pieniężne powiększały zawartość kasy utworzonej przez wojsko na rzecz niesienia pomocy rodzinom żołnierzy. Wspominam o tym dlatego, żeby zaznaczyć tę wspólnotę, tę całkowitą naszą przynależność do wszystkich spraw obchodzących Sitwę.

Dalszy etap — to Khanaquin. Beznadziejna spiekota, brak wody — lecz za to cudowne uczucie wolności. Byłyśmy w irackiej pustyni w sklepikach żołnierskich, kantynach i świetlicach Sitwy — zawsze tak samo gorliwe w obsłudze żołnierza, w pomożeniu mu. Potem przysły zmiany, które nam kazały odejść z dywizji, aby inaczej przygotować się do pracy kantyniarskiej dla żołnierza. Zeszliśmy na jakiś czas z oczu — więc według przysłowia i z myśli. Pominięto nas we wspomnieniach Brygady Żubrów. Czyż mamy się nie przyznawać do tego, że odczuwamy żal, że zrobiono nam przykrość niezasłużoną, że stała się rzecz nie piękna?...

To nic. Nasza gorycz nie stłumi w nas przywiązania do tamtych trudnych czasów — od Tatiszczewa aż do Iraku — i do Was, dalekich dziś. Nasze życzliwe myśli towarzyszyć Wam będą wszędzie. O to jedno Was tylko w zamian prosimy: gdy Wasze usta całować będą Ziemię Polską, szepnijcie Jej, że i my już idziemy do Niej, że zdążamy za Wami...

OCHOTNICZKA Z 5 DP.

## Kwiat na pustyni

*Mało jest na pustyni kwiatów — bardzo mało.  
Chyba by przejść mil setkę — szukać parę lat.  
Ale jednak się zdarza, bo przecie bywało,  
Że ktoś dostrzegł, że znalazł na pustyni kwiat.*

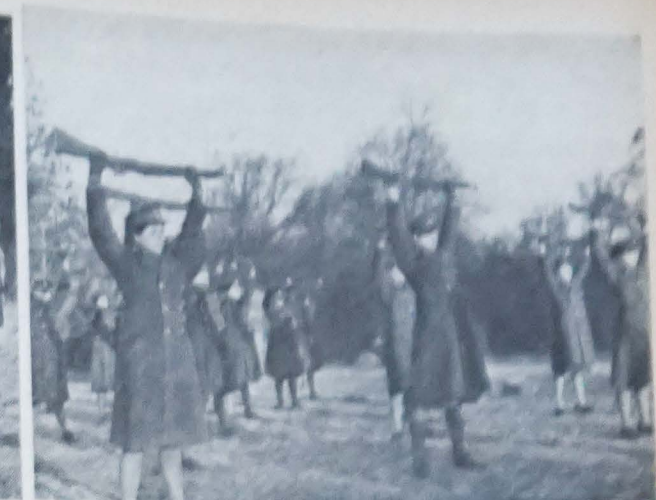
*Czerwony jest, jak usta wypięszone słońcem,  
Które go napotkało w szczeli siwych skał.  
A wesoly, jak uśmiech trzyletniego brzdąca,  
Co wszystkim by się cieszył i do wszystkich śmiał.*

*Szukać go musisz wszędzie na szarej pustyni:  
W piasku umie się ukryć, jak w popiele skra.  
Może będzie na wzgórzu, może przy dolinie,  
A może go odnajdziesz... w M.p. P.S.K.*

JERZY WOSZCZYNIN



Przysięga Ochotniczek P.S.W.K.



Ćwiczenia w obozie P.S.W.K.

## Szanowni Panowie!

Nie wiem, czy to V-a kolumna, czy zwyczajni, domowego chowu panikarze od dwóch z górą lat krzyczą, załamując ręce: — Kobiety w wojsku! — Krzyczą tak, jak gdyby to był nowy wymysł i jak gdyby tylko u nas, w polskim wojsku to „nieszczęście”. Rozmaite przeciwko nam wytaczają argumenty. Aby je wyliczyć nie starczyłoby miejsca na łamach „Ochotniczki”. A szanowna Redakcja pozwoli, żebym ot, gdzieś na boczku tych parę słów o tym, co nas boli i gniewa, wypisała szczerze i prosto.

Otóż ten krzyk szanownych Panów rozlega się często z przyczyny bardzo śmiesznej. Że to niby my, ochotniczki P.S.K., zajęłyśmy męskie stanowiska, wcisnęły się na miejsca przynależne tylko Wam, Panowie. — Gdzież ich nie ma? — narzekacie. Są wszędzie, wszędzie się na nie natkniesz. W szpitalach, biurach, magazynach, kantynach, w transporcie. Ba, chcą dowodzić kompaniami, plutonami. A do kuchni, do pralni, do szwalni nie łaska? Tam ich miejsce. Kobiety do kobiecych robót! Zanim wojna się skończy tak się rozpanoszą, że potem nie damy sobie z nimi rady. Jeszcze cię, bracie, na baczność własna żona postawi. —

Śmieszne są te rozmówki, ale wzięte wprost z życia, więc nieraz śmiać się odechciewa. Panowie, błagam Was — nie bójcie się, czasy matriarchatu nie grożą społeczeństwu po wojnie. Nie wrócą już, dawno zakopane w przedhistorycznych kurhanach. My nie chcemy rządzić, tylko podzielić się obowiązkami, użytecznie współpracować, gdyż sami, wierzcie mi, nie dacie sobie rady. Po wojnie nie każemy Wam niańczyć dzieci, bo same chcemy wychować nasze dzieci na dobrych obywateli. Przy Waszej pomocy, jeśli łaska. Taki właśnie jest nasz feminizm (straszne słowo!) — nie ostentacyjny, nie buntowniczy. Bo przecież wcale nie pogardzamy Waszą (wrodzoną) uprzejmością, ani nawet nie zamierzamy wyrzec się Waszej opieki. Nie lubimy tylko, gdy chcecie nas wykluczyć ze społeczności jako jednostki mniej warte, nieudolne i nieco głupsze od Was. Taki anachronizm nie podoba się nam. Cóż robić? Trzeba nam chyba przyznać rację.

Ale zanim nam ją przyznacie, tę rację, przypomnę Wam, że wszyscy przecież pochodzimy z Zachodu, a tam, o ile mnie pamięć nie myli, miały kobiety jakie takie prawa. Pracowały w biurach,

urzędach, kandydowały do Sejmu i Senatu, miały własne gabinety lekarskie i kancelarie adwokackie, były sędziami. A jakoś żaden z Was, w tamtym klimacie, z tego powodu nie ucierpiał na honorze i godności. Czyż można sobie wyobrazić czcigodnego profesora Piotra Curie załamującego ręce z żalu i zazdrości, że żona jego, Maria Curie Skłodowska, wynalazła pierwiastek radu?

Tu jednak klimat jakoś nie służy, a może działa wpływ Środkowego Wschodu — Iran, Irak i ten cały Arabistan — gdzie przebywamy już dwa lata. Według tutejszych zwyczajów, arabski pan domu pozwala się obsługiwać kobietom, na osiołku „wyniośle” siedzi, a kobiecina na piechotę tuż—tuż. I jeszcze dźbanisko jakieś albo gary na głowie dźwiga „prosiutka jak trzcina” („Ojciec zadźmionych”). Ładnie to nawet wygląda, gdy człowiek na to patrzy europejskim okiem. A dla arabskiego pana męża nawet wygodnie, owszem. Ale wpływ na naszych mężczyzn zły, wsiąkają w tę Azję i zaczyna im się taki podział pracy podobać. Tylko, że tu jadają szaszлык palcami a u nas szlachcic już przed setkami lat sztucce za cholewą nosił. Szerokość geograficzna, jakby nie było, nakłada na nas pewne obyczaje i zwyczaje.

Zaczęłam jednak nie od salonu tylko „od” wojska. Więc wracając do tematu, zapewniam Was, Panowie, że nie służymy w wojsku dla kariery i żadna z nas nie pragnie dosłużyć się wysokich rang ani nie marzy o tym, żeby w Polsce być dowódcą OK, lub dowodzić dywizją. Niech tylko szczęśliwie skończy się wojna, niech tylko Bóg da powrócić do wolnej i całej Polski — cicho, spokojnie zawiesimy nasze mundurki w szafie. Czeka nas tam, w Kraju, ciężka i pracowita służba. Czeka dom, rodzina, zbiedzony kraj. Czekają kobiety, które pełnią tam prawdziwy żołnierski obowiązek — nie w mundurze, ale tak samo w wojsku i którym napewno nikt tam nie dopieka, że miejsca mężczyznom zabierają, że robią karierę.

Wbrew temu, ile tu złego mówicie o P.S.K. — wrócimy do Kraju z czystym sumieniem. Śmiem tylko zapytać, Panowie, czy to złe mówienie o nas jest potrzebne? Czy dżentelmeńskie, europejskie, męskie? Jesteśmy w wojsku po to, żeby współdziałać z Wami w najważniejszej sprawie — w walce o wolność Polski. A



sze i ciągle musiał ktoś znikać ze Lwowa, i to ktoś z tych, którzy mi byli najbardziej potrzebni. Wreszcie mogłam ustalić datę wyjazdu. Pozostało mi jakieś pięć dni jeszcze pobytu z Matką. Był zresztą najwyższy czas opuścić Lwów. Milicja chodziła od domu do domu, agitując w sprawie wyborów. Aresztowania wzmagaly się z nocy na noc.

Któregoś wieczora przyszedł do nas Janusz. Był zdenerwowany i jakiś zmartwiony. — Przyszedłem dać pani ostatnie polecenia — powiedział na wstępie — przyszedłem też prosić panią o coś, ale to już tylko prosba, nie rozkaz.

Obie z Matką wysłuchałyśmy długiego i szczegółowego opowiadania Janusza o żonie jednego z aresztowanych już naszych kolegów. Pod groźbą zabrania jej małego synka do „dzietdomu” podpisała akt współpracy z najeźdźcami i zobowiązała się wydać dwóch najdzielniejszych współpracowników męża. Nie dotrzymała zobowiązania, uprzedzwszy obu o groźącym im niebezpieczeństwie, a dziecko ukryła u krewnych czy też znajomych. Teraz, rzecz prosta, musi natychmiast opuścić Lwów. — Więc może pani, może razem wyjedziecie, ale uprzedzam, że gdyby złapali...

## Tamte noce i dni

Wreszcie 3 maja (1940 r.) nastąpił koniec naszej trzytygodniowej podróży, którą odbywaliśmy we „wspaniałych pulmanach” do rozwożenia bydła. Stanęliśmy na miejscu naszego przeznaczenia: kolchoz „Karakot” tzn. czarna ręka. Jakże odpowiednia nazwa do czarnego życia, które nas czekało w tym kolchozie.

Poculiśmy dotknięcie tej czarnej ręki już na wstępie podczas wylądowania nas. Kobietom bowiem oznajmiono z miejsca, że są na równych prawach z mężczyznami, zatem i do nich odnosi się slogan, że kto nie „rabotajet”, ten nie „kuszajet”. W myśl tej zasady, wszystkie niewiasty, nawet te 70-letnie, muszą same wynosić z wagonów swoje toboły i ładować je potym na ciężarówkę. Tak więc ciążyły nam nawet resztki niedawnego dobrobytu, zabranego z domów w ową straszną noc 13 kwietnia 1940 r., kiedy nam zapowiedziano, że wywożą nas... do naszych mężów (Koziełsk — patrz: groby smoleńskie), do naszych rodzin w ZSRR.

Przy autach ciężarowych mongoł w lisiej czapie wyrwał z rąk polskich mężczyzn walizki, zmuszając kobietę, właścicielkę tej walizy, do samodzielnego dźwigania. Tak wyglądał początek naszego końca drogi — drogi do mężów. Ciągle bowiem wierzyliśmy tym, którzy nas ani na moment nie przestawali okłamywać.

Było nas 140 rodzin. Po 18-tu godzinach jazdy, samochody stanęły, wysypały nas i odjechały. Na miejscu naszego postoju nie widać było żadnego ludzkiego osiedla. Nic — tylko głuchy step, koryto wyschniętej rzeki i my rzuceni tu na pastwę śmierci z głodu i pragnienia. Tak myśleliśmy wtedy, nie wiedząc o naszym przeznaczeniu i nie pamiętając sloganu. Jeszcze teraz brzmi mi w uszach płacz dzieci, lament kobiet i wzruszająca melodia wspólnej modlitwy „Pod Twoją Obronę”.

Zbliżała się noc. Ukrywając twarz w dłoniach, klęczałam przy swoim legowisku z walizek. Kiedy odważyłam się spojrzeć na mroczący się obszar, zniemacka wyłonił się przede mną naczelnik. Nie wiem, skąd i kiedy wyrósł nade mną w swojej czarnej rubaszce. Jechał przedtem z naszą grupą na samochodzie ciężarowym i w

Spojrzałam na Matkę. Skinęła głową. A zatem załatwione. W dwa dni później, obie — Halina i ja — opuszczaliśmy mieszkanie Matki. Dwa dni wystarczyło, żeby Halina została nie tylko z fałszowanych dokumentów, ale i sercu bliską siostrą. Matka pożegnała swoje dwie córki bez jednej łzy, bez drżenia warg, tylko ciepłym uśmiechem i prawie wstydliwymi pocałunkami.

A potym, potym była granica. Czerwono-żółte węże zygziem zaznaczyły niebo i strzały rozdarły powietrze. Pomyślałam wtedy, leżąc na śniegu, czy te strzały nie dotarły i tam i czy nie przeszły serca mojej Matki. A jednak nie. Po półtora roku zaczął się znowu c i a g d a l s z y.

Nie będę tu opowiadać o drogach powrotu, o nowych wysiłkach, o nowej, zorganizowanej pracy. Wspomnę tylko, że właśnie przed kilku dniami spotkałam znajomego Haliny, któremu opowiedziałam, w jaki sposób wydostała się z więzienia i że teraz jest w Warszawie. Znajomy Haliny, żegnając się, powiedział: — Niech pani pozdrowi swoją dzielną Matkę. I wtedy to dopiero zrozumiałem, kto był c i a g u d a l s z e g o — początkiem.

MARIA WEBERÓWNA

drodze opowiadał mi o cudach nowoczesnego kolchozu, do którego nas wiozą. Mówił o pięknych barakach z nowoczesnymi urządzeniami, o tym, że jest tam światło elektryczne, radio, ochronki dla dzieci, szpital. Wszystko to było w ironicznej wyobraźni pana naczelnika. Ja widziałam tylko kępy traw na niekończącym się stepie i wspaniała, ogromną żarzącą się kulę księżycy na horyzoncie.

Nagle zjawienie się naszego pana i władcy — przeraziło mnie. Jego twarz poorana bruzdami i śladami po ospie i tak już nie budziła zaufania. Teraz przyjechał aby nam oznajmić, że bezcelowy jest nasz lament i płacz, że nie będą nas tu cesać, ubierać, ani butów nie będą nam zdejmować i czyścić. Skończyły się kaprysy i panowanie. Zawiozą nas na fermę, gdzie nauczymy się pracować i będziemy użyteczni dla „własti”.

— Ot, grajdanka, wy kulturalna żeńszczyzna i wy nie wiadomo poco w Boga wierzycie. Czemuż to wasz Bóg was nie obronił i nie strzelał do Niemca, tylko do Polski go wpuścił, a wy ot — tu. Bóg nie przygotowany był do wojny?...

Przez kilka dni wozami zaprzężonymi w byki rozwożono nas do tych ferm, oddalonych od siebie o kilkadziesiąt kilometrów. Na fermie, do której się dostałam, wynajęłam „mieszkanie”. Umieściła mnie kątem u siebie Rosjanka zamężna za Kirgizem. Była to wspólna izdebka w trzy metrowej lepiance. Płaciłam za kątek 100 rubli miesięcznie. Lepianka zamiast komina miała dziurę w dachu. Kilka słupków podierało ten dach z trawy i gliny. Wilgotne ściany wytapetowane były gazetą — „Prawda”. Ozdobą był plakat, na którym tłum kobiet w chustkach na głowie wyciągał ręce do góry w kierunku emblematu: młot i sierp. „Prawda”. — Maleńkie okienko z szybą stłuczoną i posklejaną papierem upstrzoną rojem much nie rozjaśniało wnętrza izby. Dwoje rozkrzyczanych, omorusanych dzieci, kury, koza — oto środowisko, w którym zamieszkałam. A dodać trzeba, że było to „najwspanialsze” locum na fermie!

Ułożywszy swoje rzeczy naprzeciw łoża (pryca zarzucona lachmanami) moich gospodarzy, zmęczona wrazeniami i wysiłkiem fizycznym, zasnąłam po raz pierwszy od miesiąca w „domu”, na ziemi, na walizkach, na moim materacu gumowym (komfort!). Jak długo trwał ten sen, nie wiem. Obudziłam się nagle wśród nocy i zerwałam się na równe nogi. Na moim materacu leżały cztery kopyta końskie. Zaraz też przy świetle tłącego się kaganika zobaczyłam na ziemi całe zwierzę — martwego konia, jego łeb nad misą pełną krwi. Otwarte, piękne, zdawałoby się żywe, oko patrzyło z przerażeniem.

Mąż mojej gospodyni, lisy skośnooki, atletycznej budowy Kirgiz, trzymając w ręku nóż, wyciągnięty z szyji zabitego zwierzęcia, spoglądał na mnie i śmiał się z mojego przestachu. Ale groźnie nakazał mi, że mam być cicho, bo koń jest skradziony. Głos i tak zamarł mi w krtani, więc, dygocąc, patrzyłam jak w oparach gotującej się wody, w dymie paleniska śmił rudy płomykiem kaganek, a Kirgiz misternie ściągał skórę z zabitego zwierzęcia. Wybiegłam wreszcie na step, płacząc ze zgrozy i wstrętu.

Świeże powietrze uspokoiło mnie nieco. Przypominałam sobie, że żona Kirgiza już przecież zdążyła mi pokrótce opowiedzieć o dzikości swojego męża i o jego piekielnej zazdrości, która sprawiała, że nie była nigdy pewna swojego życia. Dlatego to przez całą noc paliła ogarek, bo wracający pijany mąż mógł ją kiedyś zniemacka zamordować. Spała, czuwając. Zrozumiałam teraz jej lęk przed tym człowiekiem.

Przez wszystkie noce, jakie przespałam w tym wspólnym mieszkaniu, budziłam się na dźwięk ostrzenia noża, drząc z trwogi, że nóż za chwilę dotknie mej szyji. A były to noce po dniach ciężkiej, fizycznej pracy.

Dotąd jest dla mnie zagadką, jakim sposobem mógł Kirgiz wprowadzić skradzionego konia do izby przez malutkie drzwi. I dotąd nie mogę się otrząsnąć z wrażenia, jakie na mnie wywarło to koszarne widowisko. Prześladowuje mnie nieraz w snach.

Wtedy na stepie chłód nocy i złe psiska zmusiły mnie do powrotu do izby. Koń był już pokrajany na części, a łeb, szczerząc zęby, wisiał nad moim posłaniem. Położyłam się, naciągnęłam na głowę pled, ale nawet przez zamknięte powieki widziałam misę

krwi, szkielet, łanigor oko konia, zotywno sterczące w powietrze, wyszczerzone żółte śpiły. Zasnąłam.

O której godzinie w nocy obudziło mnie. W rudy światło kaganika — taki obraz: na małym okrągłym stole stała czarownego, buchającego parą mięsa. Gospodarz, siedząc ze zgiętymi kolanami pod brodą, odrywał palcami mięso od kości i rozdawał je laskawymi gestami między swoją rodziną. Dwoje zamulonych dzieci i brudna, rozczochrana żona, iardy łapczywa. Zapach nie-dogotowanej koniny przyprowadził mnie o mdłości.

Zbudzone mnie potę, żebym wzięła udział w uczcie. Nie pomagały tłumaczenia, że nie jestem głodna, że nie przywykłam jeść w nocy. Kirgiz wybrał dla mnie kawałek jędra obocznego mięsem i podał brudnemu dzieciakowi, aby mi to wręczył. Potworek z zaropiałymi oczami rzucił kawałek gorącego mięsa na moją poduszkę. Na poduszkę. Zrobiło mi się tak niedobrze, że wybiegłam z izby. Nad stepem niebo przejaśniało się już światem.

Było takie słowo, które po raz pierwszy słyszałam z ust mojej gospodyni, a które potym przez dwa lata często słyszałam tam u nich: „przywykniesz”. Istotnie, po pewnym czasie noce, które spędzałam w kirgizkiej lepiance, nie robiły już na mnie wrażenia. Wprawdzie „uczciwy” poganiacz byków nie mordował już koni, tylko barany, ale i te były tak samo „kazionne” i kradzione. Po tym mówiono niewinnie, że je wilki zjadły. Podczas egzekucji wybiegałam, żeby nie patrzeć, nie słyszeć, ale robota, przyznać trzeba, była tak misterna, że zwierzęta nie wydawały z siebie nawet jęku. Ginęły od jednego uderzenia świetnie naostrzonego noża.

Kiedy wyjeżdżałam w dwa lata po tym z kolchozu, z „wolnej zylki” na wolność, posłałam pożegnać naczelnika, aby mi oznajmić, nie bez satysfakcji, że jestem wolna, że jadę do Armii Polskiej. Pamiętając dobrze tamtą rozmowę na samochodzie ciężarowym, powiedziała mi teraz, że jednak, choć mój Bóg nie strzelał wym, powiedziała mi teraz, że jednak, choć mój Bóg nie strzelał w kulami, obronił nas. Naczelnik zmieszał się i bąknął: — Ja także wierzę w Boga. Nie okazałam zdziwienia. „Przywykłam” już do tego, że ludzie tamtejsi żyją podwójnym życiem. Jedno jest jawne, drugie zatajone. W tym zatajeniu odbywają się właśnie nocne szlachtuzy. Ale są i tacy, którzy nocą wkradają się do własnych sumień, aby w twódcze szukać Boga. Boga, którego wypierają się na jawie.

HALINA ZAWODZIŃSKA

## S Y N K O W I

Nie pojmujesz, dlaczego babcia się tak smuci,  
I mówi ci czasami: — Będzie radość w domu,  
— Ale trzeba zaczekać, aż ojciec powróci.  
— A teraz o tym nie mów nikomu, nikomu. —

Płyną dni wypełnione ciszą olowianą.  
Dla ciebie — każdy — nowy, jednako uroczy.  
Pytasz, dlaczego mama ciągle zapłakana,  
Dlaczego ci nie daje masła, czy łakoci.

A jeśli nie powróci... Wtedy ty, z kolei,  
Gdy urośniesz, zrozumiesz, skupisz wszystkie siły  
I uderzysz i zniszczysz. A potem zasiejesz  
Nowe ziarno wolności na starych mogiłach.

JERZY WOSZCZYŃNIN

# Jacusi i Krzysia

Obrazek z Kraju

Maleńki stoi w kącie i płacze bezsilnie. Jest głodny, bardzo głodny. Policzki ma głęboko wpadnięte — nie ma wcale policzków. Oczy okrążone sinymi obwódkami. Przez przeźroczystą skórę widać niktę, dziecięce kosteczki. Jacusi z dawnych czasów dobrze pamięta, że grzeczny chłopczyk może płakać tylko w kącie. Więc chociaż sam jest w pokoju — płacząc, stoi w kącie.

Straszne jest to duże miasto, zakurzone i smutne. Pełne żołnierzy w obcych mundurach, rozgadane obcą mową, rozszeptane tajemnicami — tysiącami drobnych, codziennych tajemnic. Parkany i słupy krzyczą ciernistymi literami gotyckich zgłosek.

Matka Jacusia, Krzysia, kiedyś nazywała się moją siostrą. Nie wiem, czy mam prawo i dzisiaj tak ją nazywać. Dzieli nas to, co jest jej szarym, codziennym bohaterstwem. Zdawałoby się, że to tylko szereg krótkich chwil oporu, wstępu, lęku. Te ubliżające spojżenia, ta trwoga samotnych wieczorów, powrotów do domu wzduż murów kamienic, byle jak najbardziej niedostrzeżenie. Głód, chłód, strach przed klęską w walce o życie synka. Wszystko to w sumie trwa cały dzień i przewleka się przez całą noc.

Krzysia nie ma teraz w domu, ani w mieście. Pojechała na wieś w poszukiwaniu „prowiantu”. Do starej, zniszczonej walizki włożyła trochę gałganków, resztki odzieży. Na palcu ma jeszcze ciągle złotą obrączkę. Może uda się zamienić na jedzenie dla Jacusia. Jechać trzeba daleko, bo podmiejskie wsie są już zupełnie ogołocone. Trzeba jechać aż za Bug.

Jacusiowi powiedziała, że jako grzeczny chłopak, dorosły ósmioletni mężczyzna, więc nawet opiekun swej matczki, ma tu czekać spokojnie na jej powrót. W spizarnce jest chleb i dwie cebule. Jedną cebulę i połowę chleba ma zjeść dzisiaj, a drugą i resztę chleba — jutro. Pojutrze matka wróci — z pełną walizką żywności.

Krzysia jechała na wieś do rodziny pewnego ułana, który kiedyś był w szwadronie jej męża. Wie, że Romana kochali jego ułani i to dodaje jej nieco otuchy — może uda się jej wyprawa.

Wieś jest pusta i bezdymna. Wiosenne słońce każe ludziom gasić ogień w piecach. Nie ma znaczenia, że grube sopłe lodu zwisają jeszcze z okapów, a kałuże ścina mróz. Jest wiosna i słońce, więc musi być ciepło ludziom. Dziwna jest teraz polska wieś bez rozszczekanych brysiów, bez plutonów głupich a wałęsnych gęsi, bez kur dziobiących porzucone ziarna. Nie ma porzuconych ziaren, wszystko się liczy, nawet biały korzonek trawki jest jadalny. Krzysia dobrze to rozumie, ale, mimo to, idzie naprzód odważnie. Jej mały Jacusi musi przecież jeść, a spizarnka jest już pusta.

Wreszcie jest ta „jej” chałupa. Szara, zapadła w ziemię, smutniejsza nawet od innych. Krzysia podchodzi do zapartych drzwi i puka mocno. Z głębi chaty wybiegło jęśliwe pytanie:

— Kto tam?

Krzysia odpowiada pozornie pewnym głosem:

— Ktoś z czternastego pułku Ułanów Jazłowieckich.

Kobięcy głos wewnątrz chaty krzyknął zdumieniem i zaraz mogła Krzysia wejść do środka. Ale drzwi znowu szczelnie zamknięto. Tak trzeba. „Gość z miasta”, siedząc na krześle opowiada o rotmistrzu Romanie i ułanie Srocie. Dzisiaj obu żołnierzy łączy ciężkie koleżeństwo. Schwytani już po dacie oficjalnego zakoń-

czenia kampanii, byli zwykłymi przestępcami w pojęciu władz niemieckich.

Jakże trudno przechodzi przez gardło prośba! Przed chwilą mówiła właśnie Sroczyzna, że nie miały serca zabić psa. Ale jeżeli psisko ma żyć, trzeba mu także dać coś do żarcia. Powiedziały więc Burkowi, żeby sobie poszedł w świat. Pies zrozumiał, zastrzygł uszami, poskuczał trochę i pogonił przed siebie. Przybiega czasem do domu z naderwanym uchem, ze skórą w strzępach. Zmienił się Burek, zmienili się wszyscy. Matka i siostra ułana Sroki mówią o tym prawie spokojnie.

Krzysia powinna wreszcie wykrztusić swoją prośbę. Powie im, czyjaś nędza może być jeszcze gorsza. Obie kobiety nie czekają jednak na wypowiedzenie prośby. Zrozumiały. Do zniszczonej walizki wędruje kawałek suchego sera, kartofle, cebula i pszenica w ziarnie. Znalazł się nawet kawałek słoniny, wprawdzie zielony ze starości, ale po przetopieniu można zjeść. W niedzielę.

Krzysia jest nieprzytomna ze szczęścia. Całuje suchą, starą rękę Sroczyzny za Jacusia, który się naje i nie głodny będzie mówił i mówił o polskich żołnierzach, że przyjdą, bo przecież muszą przyjść.

A tymczasem mówi Sroczyzna. Opowiada, jak tu jest. Mówi spokojnie o tych strasznych sprawach. Z jej prostych słów Krzysia układa całość tutejszego bytowania. A tak, jak tu, jest wszędzie, w całym kraju. Więc, że nie ci są najgorsi, którzy mienią się „panami” — Niemcy. Są jeszcze inni, którzy kryją się po lasach, mówią obcym, ale prawie zrozumiałym dla Polaków językiem. Nocami wypadają ze swych kryjówek, palą, zadają męki. — Niemcy już dobrze wiedzą, że ich panowanie tutaj wkrótce się skończy. Jutro, pojutrze. Wtedy tamci wyjdą z lasów na dobre. Porozwieszają swoje zakrwawione szmaty i rozwrzeszczą się na cały świat o „polskiej jednomyślnej woli” uznania nowych władców. Dzisiaj wypadają z lasów na krótko, zabijają Bogu ducha winnych listonoszów i strażników wioskowych „za zdradę”. W dzień przychodzą Niemcy i wieszają zakładników, palą ich chałupy „za bandytyzm”. Następnej nocy znowu zjawiają się ci „lasowi partyzanci” aby rozpocząć śledztwo: kto się poskarżył, kto wydał? I znowu obcięte uszy, wyrwane języki, oczy wykłute, parę drzew przystrojonych — wisielcami. Jedni i drudzy zabierają wszystko, co można zjeść i zostawiają kwity — dowody rabunku. Obie strony, jakkolwiek niby w walce z sobą, uznają te kwity. Właściwie słusznie — bo obrabowana stodoła jest naprawdę obrabowaną stodołą i nie ma w niej czego szukać.

Nagle spokojna i opanowana Sroczyzna zaczyna płakać. Ciężkie łzy spływają po bruzdach twarzy. Płacze cicho, beznadziejnie. Natomiast Sroczyzna zawodzi i szlocha. Krzysia wie, że nie powinna teraz płakać. Jej rola tu jest inna. Zaczyna mówić o tym, co wkrótce się stanie tutaj i w całym kraju. Że przyjdą — kwiaty mieć będą w lufach karabinów. Czołgi, armaty — w kwiatkach. Śpiewają, a dzwony dzwonią, a ziemia drży. Zwycięscy.

Kobiety słuchają, wierzą, widzą...

Krzysia zabiera się do odejścia. Chce dziękować za dary, ale Sroczyzna przytrzymuje jej ręce i szeptem: — Nie trzeba, to my za Ciebie powinniśmy pani podziękować. Pocięcha dziś jeszcze

ważniejsza niż chleb. — Więc Krzysia znowu: — że i chleb ważny, bo trzeba doczekać tego dnia. — A Sroczyzna pomyślała o czymś innym: — Kwiaty trzeba zasiać, aby były dla naszych żołnierzy. — Trzy kobiety uśmiechają się: — Kwiaty trzeba zasiać.

Krzysia jedzie do domu i teraz dopiero trwoży się o Jacusia. Jest już późny wieczór, gdy otwiera drzwi mieszkania. Jacusi kłęczy na łóżku i odmawia pacierz. Przycisnęła chłopaczka do piersi. Zdrowy, cały — nic złego się nie stało. Wtedy dopiero otwiera walizkę i pokazuje zdobyte skarby. Jacusi z dorosłą powagą ocenia: — Tydzień mamy pewny przed sobą.

Krzysia dopytuje: — Zjadłś synku chleb i cebulę? — Jacusi nie patrzy w oczy matce, gdy mówi: — Nie mamusi, nie zjadłem, bo ja naprawdę nie byłem głodny...

Czy mógł zjeść wszystko, nie będąc pewny, że matka cośkolwiek przywiezie? I, czy nie jest opiekunem matki?

Jacusi i Krzysia — starzy codzienni bohaterzy.

ANDRZEJ STOCKI

Londyn, 29.XI.1943.

## Listy do Redakcji

NA MARGINESIE ARTYKULU H. NAGLEROWEJ „MUSIMY WIEDZIEĆ”

Słuszny, mocny, śmiały apel Szanownej Pani o powszechność czytelnictwa aktualnego w szeregach PSK. — Niedociągnięcia wychowawcze tej potężnej przeżył i stanem ilościowym masy społecznej marnują poważny kapitał państwowy. Tak ogólne ramy — jak rozkład zajęć szarego dnia pomija kształtowanie wewnętrznej psychiki żołnierskiej wśród kobiet, kładąc cały wysiłek na urobienie zewnętrznej formy. Tu źródło często powierzchownego podejścia do obowiązków „pasa” — nadto piąty rok „zawieszenia” też swoje robi...

Lecz nam nie wolno przystawać w drodze okrężnej do ojczyźnianej atmosfery. Udostępnienie tworzenia indywidualnych kół samokształcenia, czuwanie nad stałym rozwojem i umocnieniem ich systematycznych prac troskliwą opieką, starannym kierownictwem takich zespołów samokształceniowych — utworzyłyby nieprzewidziane poważne zarzewie wiedzy — z dziś stworzonego jutra. Niestety — nawet środki szkolne nie wykorzystują w pełni aktualizacji wiedzy — dla zainteresowania się międzynarodowymi rozstrzygnięciami w zasięgu duchowych wartości, podporządkowania techniki dobru ludzkości.

Nasz podświadomy system wolności i miłości zniekształcony uderzeniem dwu brutalnych ciosów fizycznej przemocy — musimy rozumieć, czujnie odgrzebać z pod gruzów, bo nie kto inny, jak Polska ma być tą wielkością cnoty żołnierskiej na każdy dzień u siebie i dla sąsiadów. Więc wy, które jesteście przy aparacie rozdziałczym, darcie wszystkie źródłem kultury ducha naszego.

Proszę przyjąć serdeczne pozdrowienia Pracy!

Kepisz-Kulikowska ppor.

M. p. 24.I.44.

Szanowna Redakcjo!

Natychmiast po otrzymaniu „Ochotniczki” zacząłem ją studiować. Po dokładnym przeczytaniu stwierdziłem, że chociaż sam częściowo miałem możność obserwowania kobiet polskich od czasu ich organizowania się, jednak bardzo dużo nowych rzeczy dowiedziałem się z „Ochotniczki”. Chociaż ja, tak samo, jak większość mężczyzn, odnosiłem się początkowo do tej sprawy z nieufnością, to obecnie zupełnie zmieniłem zdanie, widząc na własne oczy, że jednak praca P. S. K. nie jest tylko szumnym frazezem, ale stała się rzeczywistością. Zasylam

szczerze życzenia dalszego rozwoju pracy P.S.K. i jego pisma „Ochotniczka”.

Z poważaniem

st. strz. Albin Matylovec

## SPROSTOWANIE

W drugim numerze „Ochotniczki” w artykule „Miłosierdzie” p. Insp. Zyliskiej (str. 11-12) wiersz od dołu wśród nazwisk zmarłych siostr znajduje się przekształcone nazwisko mojej matki. Spotykam się z tym po raz drugi. Proszę o łaskawe sprostowanie nazwiska SZCZECIŃSKA Ewelina na właściwe — SZECHIŃSKA Ewelina.

Ochot. Stechińska Urszula

## Ze świata

CÓRKA MARII CURIE SKŁODOWSKIEJ W OBOZIE FRANCJI WALCZĄCEJ

Ewa Curie (córka Marii Curie Skłodowskiej) została przydzielona do sztabu gen. de Tassigny w charakterze delegatki dla spraw opieki nad bezdomnymi we Francji w chwili inwazji i uwolnienia tego kraju od okupantów.

LEKARKI OFICERAMI W MARYNARCE AMERYKAŃSKIEJ

Oddział lekarski i chirurgiczny marynarki amerykańskiej ogłosił niedawno w Waszyngtonie, że lekarki dyplomowane będą mogły uzyskiwać stopnie oficerów rezerwy w marynarce Stanów Zjednoczonych. Na początek, według danych biura lekarskiego marynarki powołano 600 kobiet lekarek. Nadano im stopnie kapitanów, poruczników i podporuczników. Nowomianowani oficerowie — lekarki podlegają takiemu samemu statutowi co i oficerowie mężczyźni. Wszystkie te lekarki zajęły już wyznaczone im placówki w marynarce.

CZYTAJ CIE „OCHOTNICZKĘ”

KOBIETY W PRZEMYSŁE AMERYKAŃSKIM

Według danych amerykańskiego Instytutu Żelaza i Stali pracuje obecnie w stalowniach amerykańskich 37 tys. kobiet. Ponadto blisko 27 tys. kobiet zatrudnionych jest w biurach towarzyszym metalurgicznym.

Ogółem około 10% personelu pracującego w amerykańskich zakładach stalowych, będących do niedawna wyłączną domeną mężczyzn, stanowią kobiety. Praktyka wykazała, że mogą one wykonywać z powodzeniem wiele czynności w produkcji metalurgicznej, jak np. obsługiwanie dźwigów, pomocnicze prace przy wielkich piecach, kontrolowanie materiału w różnych stadiach przetworczości, uruchamianie obrabiarek, wreszcie prowadzenie traktorów, ciągników i wozów ciężarowych. Przed przedstawieniem produkcji amerykańskich stalowni na najwyższą wydajność związaną z potrzebami wojny, a zatem przed zmobilizowaniem do wojska specjalistów, kobiety pracowały w tym przemyśle jedynie przy sprawdzaniu jakości płyt cynowych, a ilość tych pracownic nie przewyższała 2.500.

# Kronika

## „BAŚN O SZOPCE” W TRANSPORTOWEJ KOMPANII

Najpierw w Kompanii Transportowej, a następnie powtórzone w sali kinowej w Rehovoth odbyło się przedstawienie „Baśni o Szopce”. Pomysł i reżyseria oraz układ tańców och. J. Dylko-Giernowskiej; opracowanie literackie st. och. R. Naparlińskiej; słowa kolęd — góralskiej i śląskiej — och. H. Illukiewicz; pierwsza scena na osnowie Or-Ota. Tak opiewałaby sucha, kronikarska notatka. Ale w imprezie tej jest coś, co należy podkreślić: autorki i wykonawczynie to „drajwerki”, które w ułamkach czasu wolnego od służby przygotowywały przedstawienie. Na ten wieczór przemieniły się ochotniczki na Królową Śnieżkę, na Krasnoludków, na diabłów Borutę i Rokitę, na Wiedźmę, sierotkę Marysię, Jasia i Małgosię, Kopicuszkę z dworem kuchcików (przygrywka do tańca na talerzach i menażkach). W drugiej

części — folklor, sceny i śpiewy ludowe z całej Polski i kolęda o Kresach („W dzień narodzin Twoich Jezu, zanosimy modły: niechaj Polski nam nie kraje wróg nasz wielce podły, niechaj wojny zaprzestają hitlerowskie biesy — wróć nam Polskę niepodległą, wróć nam Wschodnie Kresy”). Chór białych, skrzydlatych aniołów (nazajutrz wdzięczne anielice znowu włożą robocze kombinezony i znowu chwycą za kierownicę) — sprawia straż przy żłobku i opowiada sobie wzruszonymi głosami, że „nie w Betlejem Galilei, bardzo podłym miściec Matka Boska wieczorami złote nitki przędła i śpiewała z prządniczkami: kolęda, kolęda... „A ochotniczka, klęcząc u kołyski Narodzonego, mówi: „Cóż Ci cudne Dzieciątko i Niebieska Pani miłosierna, wielkość dla nas niepojętej, złożyć możemy z ojczyzny wygnani, gdy rodzisz się, jak co roku, tu na Ziemi Świętej? Chyba proste, żołnierskie, choć kobiece serce i łyż co wy-

lałyśmy za domem, za Krajem i wiarę zachowaną w długiej poniewierce i baśń co było z nami ludowym zwyczajem...”

Ta baśń właśnie snuła się przez cały ten piękny wieczór, tak pełny wspomnień i wzruszeń. Widzowie liczni na obu przedstawieniach — umieli docenić wysiłek zespołu wdzięcznym sercem. Więc stało się dobrze, że drajwerki zdobyły się na ten wysiłek i że uczyniły zadość naszym jasełkowym tradycjom.

*Halina Denten*

## DRUGA GRUPA KOMENDANTEK NA KURSIE OFICERSKIM

Na innym miejscu podajemy sprawozdanie z Kursu Komendantek, który ukończyła pierwsza grupa 6.I. br. Druga grupa rozpoczęła Kurs 20.I. W ten sposób przeszkoła się wszystkie komendantki. Program Kursu jest tak ułożony, żeby w okresie 6—7 tygodni uczestniczki mogły nabyć najkonieczniejsze wiadomości wojskowe. Przewidywany jest jeszcze Kurs dla grupy trzeciej.

## TREŚĆ NUMERU

- |   |                               |
|---|-------------------------------|
| 1. Litania Ziemi Lwowskiej                      | <i>Kazimierz Wierzyński</i>   |
| 2. Fale potopu                                  | <i>Zbigniew Racięski</i>      |
| 3. Komendantka Gł. P. S. W. K. do „Ochotniczki” |                               |
| 4. Kobiety w Kraju a P. S. K.                   | <i>Bronisława Wystouchowa</i> |
| 5. Litania za poległych w obronie wolności      |                               |
| 6. „Rozkwitały pęki białych róż”                | <i>Janina Woyciechowska</i>   |
| 7. Moja Ojczyzna                                | <i>Jarżna Woyciechowska</i>   |
| 8. Cywilna sukienka                             | <i>M. M.</i>                  |
| 9. Dwie „Ochotniczki”                           | <i>Halina Terlecka</i>        |
| 10. Tamten brzeg nocy                           | <i>Stanisław Baliński</i>     |
| 11. Kobieta brytyjska wygrywa wojnę             | <i>Bronisława Przystajko</i>  |
| 12. Przypominamy się „Sitwie”                   | <i>Ochotniczka z 5 DP</i>     |
| 13. Kwiat na pustyni                            | <i>Jerzy Woszczyński</i>      |
| 14. Szanowni Panowie                            | <i>Rita Naparlińska</i>       |
| 15. Komendantki P. S. K. na Kursie Ofic.        | <i>Zofia Borzęcka</i>         |
| 16. Ciąg dalszy                                 | <i>Maria Weberówna</i>        |
| 17. Tamte noce i dnie                           | <i>Halina Zawodzińska</i>     |
| 18. Synkowi                                     | <i>Jerzy Woszczyński</i>      |
| 19. Jacuś i Krzysia                             | <i>Andrzej Stocki</i>         |
| 20. Listy do Redakcji                           |                               |
| 21. Ze świata                                   |                               |
| 22. Kronika                                     |                               |

Zdjęcia wykonane przez Dział Fotograficzny Oddziału Propagandy i Oświaty A. P. W. oraz nadane ze Szkocji.